Nr. 18. Warszawa, dnia 4 Maja (22 Kwietnia) 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, **kwartalnie** rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem **do** domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po **k. 20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce

POLITYKA.

SPRAWY DOMOWE FRANCYI.

Feta we Friedrichsruh, koleje wojny chińsko-japońskiej i romantyczne pogłoski o księciu Salwatorze, pochłaniały w ostatnich czasach całą uwagę dzienników, wskutek czego prasa notowała tylko pompatyczniejsze wystąpienia mówców Izby francuskiej, jak np. Jaurés'a lub zawsze żywotne sprawy budżetowe. W tym samym jednak czasie, kiedy odbywała się na błoniu w Sathonay defilada wojsk, udających się na Madagaskar, a echa niosły stamtąd znowu stare frazesy o „misyi cywilizacyjnej,“ którą ma do spełnienia karabin francuski — senat i Izba obradowały jak zwykle, załatwiając bez hałasu pilniejsze sprawy domowe. Jedną z ciekawszych była niewątpliwie interpelacya Farinole'a w senacie, która przeminęła bez rozgłosu za granicą, chociaż stoi w związku bezpośrednim ze sprawą projektowanej decentralizacyi Francyi, nosi zaś miano korsykańskiej, ponieważ dotyczy porządków administracyjnych i sądowniczych, panujących za trzeciej Rzeczpospolitej na Korsyce; ciekawą zaś jest z tego względu, że ukazuje nam frygijską czapkę od strony podszewki, gdzie jest mniej wyzywającej czerwoności a więcej fastrygi. Farinole ograniczył się w swem przemówieniu do charakterystyki działalności i składu korsykańskich sfer sądowniczych. Zaznaczył więc przedewszystkiem, że najwyższe władze Rzeczpospolitej zbyt często podlegają przenoszeniu i zmianom w personelu urzędników sądowych właśnie w okresie wyborczym, tj. wtedy, kiedy zmiany te mają doniosłość polityczną. Rzecz prosta, że przenoszenia dziwnym trafem zawsze wzmacniają partyę rządową w okręgu. Tak np. na 18 dni przed wyborami do senatu w r. 1894 naznaczono *sześciu* nowych sędziów w Korsyce, których wpływ stanowił o rezultacie wyborów. Prawda, że w r. 1881 postępowano jeszcze mniej ceremonialnie; na pięć dni przed wyborami przeniesiono 12-tu, usunięto 8 u dawnych sędziów zupełnie, a 20-u urzędników sądowych rozmaitych kategoryj rozmieszczono w sposób całkiem nieoczekiwany... Następnie podaje Farinole charakterystykę sześciu sędziów pokoju, naznaczonych w okresie wyborczym 1894 roku. Są to rzeczy prawdziwie pouczające. Sędzia Berlandi podlegał sam dochodzeniom sądowym o... fałszerstwo dowodów publicznych. Notatka, którą wówczas udzieliła o nim policya trybunałowi, zawiera między innymi ten frazes charakterystyczny: „P. Berlandi jest tu znany jako autor denuncyacyi bezimiennych, dość licznych w Omessa.“

Drugi sędzia, Grimaldi, otrzymał posadę w kantonie, w którym przed paru miesiącami zaledwie sam stawał jako kandydat do Izby: oburzenie ludności jest tak wielkie, że Grimaldi musi przy pełnieniu swych obowiązków uciekać się do pomocy siły zbrojnej.

Trzeci z szafarzy sprawiedliwości, niejaki Giocanti w Piedicroce, wpisał sobie poprostu 30-tu obcokrajowców na listę wyborczą.

W innym kantonie sędzia Muratti przy pomocy brata mera zwalcza szczęśliwie kandydata opozycyi i zapewnia wybory... trzeciemu z rodziny Muratti.

W ten sposób, ciągle z dokumentami urzędowymi w ręku, senator Farinole przebrał wszystkich faworyzowanych przed wyborami urzędników sądownictwa korsykańskiego. Nie trzeba tłomaczyć, jak daleco cała ta sprawa zniesławia wybory Rzeczpospolitej. Należy tylko krytyczniej rozpatrzyć znaczenie jej, odrzuciwszy, co jest przypadkowe, żeby dotrzeć do istoty faktów. Interpelacye posłów i senatorów korsykańskich nie po raz pierwszy już robią przykrość rozmaitym ministeryom trzeciej Rzeczpospolitej. Zupełnie podobne fakty opowiedziano Izbie w r. 1884. Wówczas jednak Ferry odrzucił wniosek ankiety przez postawienie kwestyi zaufania. W r. 1887 nowa interpelacya stwierdza, że stan rzeczy nie a nie się nie zmienił i że nadużycie władzy, wtrącanie się sfer sądowniczych do wyborów itd., jak dawniej, są w Korsyce na porządku dziennym. Republikańska większość Izby starała się zawsze zbyć interpelacye tego rodzaju, w czem naturalnie ministerya dopomagały jej gorliwie. Korsyka uważaną była za klasyczną krainę monarchizmu, bonapartyzmu itp., co miało długo swe znaczenie w polityce partyj francuskich, podobnie jak sławny „nieprzyjaciel zewnętrzny“ teroryzował przez usta Bismarcka Reichstag i Landtag. Po awanturze bulanżystowskiej dużo się jednak zmieniło: dziś Korsyka wysyła samych tylko republikanów. Farinole np. należy nawet do starych opozycyonistów z przed roku 70-go, co nadaje jego interpelacyi tem większe znaczenie. Taką samą sławę ma Casabianci, deputowany, który w Izbie popiera interpelacyę Farinole'a nową wiązanką faktów o zachowaniu się prefektury korsykańskiej, o „regime administrative.“ Dziś jedno tylko Ajaccio żywi platonicznie zresztą sympatye bonapartystowskie i na nie się nie zdadzą okrzyki na trwogę wrzekomo zagrożonego republikanizmu. Możemy zresztą opuścić Korsykę: czyż niedawny skandal tuloński nie ukazał nam całej machineryi fałszerstw wyborczych, czyż kandydatura Leroy-Beaulieu nie zakończyła się przed paru laty równie pouczającemi zwierzeniami niedoszłego posła? Działo się to już nie w Korsyce, a jednak owa „kartka z obyczajów wyborczych,“ którą można znaleźć w *Revue des deux Mondes* z r. 1892, w niczem nie ustępuje interpelacyi Farinole'a. Mamy więc do czynienia ze zjawiskiem dość powszechnem i znanem w dziedzinie politycznej pod rubryką fałszerstw parlamentaryzmu.

Jeżeli jednak od ogólnikowo brzmiącej krytyki i od katońskiej pogardy doktrynerów, o tyle nieposzlakowanych, o ile najczęściej niemających władzy i tem samem nie wystawiających na szwank swych cnót obywatelskich, przejdziemy do życia, to zobaczymy, że formułka ta martwa jest i prowadzi sama przez się tylko do bezsilnej i jałowej negacyi. Tak jest—są to błędy parlamentaryzmu; chodzi jednak nie o zniesienie go, tylko o naprawę. Przyjąwszy nawet, że całkowita naprawa leży w zakresie reform podstawowych, np. ekonomicznych, trzeba uznać, że na razie można te błędy uczynić mniej dotkliwymi, nie uciekając się jeszcze do środków koniecznych, do których izby zresztą nie są skłonne.

Cóż więc we Francyi mianowicie ułatwia czy umożliwia te fałszerstwa i ubezwładnia wprost społeczeństwo w walce z niemi?

Odpowiedź znajdujemy w zgodnem zajęciu wszystkich partyi i odcieni francu-

skich żywotną sprawą decentralizacyi Francyi. Dotychczas jeszcze w podstawie rządów administracyjnych trzeciej Rzeczpospolitej leżą centralistyczne zasady roku VIII. Wszystkie monarchie europejskie—Rosya, Niemcy, Anglia—mają samorząd miejscowy bez porównania wyżej rozwinięty, aniżeli Francya. W Londynie np. nie mniej niż 50,000 obywateli czuwa i przyjmuje czynny udział w sprawach miejscowych—w Paryżu - 80. Anglia bez Szkocyi i Irlandyi liczy więcej niż 300.000 obywateli, zajętych urzędem gmin, hrabstw, okręgów itp.—we Francyi, której ludność jest o 50% większa—zaledwie 36,000 osób zajmuje się temiż sprawami. Natomiast—wręcz przeciwnie—tam gdzie w Anglii wystarcza *jeden*, w Austryi zaś lub Włoszech *czterech* urzędników—we Francyi przypada *dziewięciu*. Stąd też urzędy publiczne spadają w budżecie ciężarem 24 fr. 7 c. na osobę we Francyi podczas gdy nawet w Prusach budżet ich wynosi tylko 15 fr. na osobę, w Anglii zaś 10 f. 33 c. Samorząd miejski, tak rozwinięty w Rosyi lub Anglii—nie istnieje prawie we Francyi. Urzędnicy są tu jedynym organem działalności publicznej — wszystkie inne mają tylko znaczenie dodatkowe: „Francya nie jest demokracyą, lecz biurokracyą," mówił niedawno Paul Deschanel. I trzeba przyznać, że sprawa Rzeczpospolitej nie zawsze, jak to widzieliśmy, dobrze na tem wychodzi.

Uwagi powyższe bynajmniej nie doprowadzają do złudnych wniosków o rozstrzygającem znaczeniu komisyi decentralizacyjnej. Być może nawet, że jak tyle innych, na razie da ona niewiele: wszak przeminęły bezskutecznie prawie usiłowania Odillon-Barrot'a, lub projekt z Nancy. Prąd jednak, sprzyjający rozwojowi samorządu, a więc i kontroli obywatelskiej w administracyi, wzmaga się we Francyi ciągle. Z jej spraw domowych decentralizacya, popychana bądź przez bodźce, w rodzaju Farinole'a, bądź przez usiłowania partyjne rozmaitych grup, zmierza widocznie ku urzeczywistnieniu.

A. P.

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Naprężenie wojenne po pokoju w Szymonoseki wygląda bardzo groźnie. Według *Timesa*, w tych dniach eskadry mocarstw zagranicznych gromadziły się w portach japońskich, przygotowując demonstracyę zbrojną. Na Formozie żołnierze chińscy zabili jednego z generałów tylko za to, że ich okradał, co nie nowina w Chinach; ale generałowie odgrażają się, że nie wypuszczą japończyków, gdy przyjdzie do wykonywania traktatu. Japończycy, zajmując już Lia-tong, Weihai-wei, Koreę i wyspy Pescadores, w najgorszym wypadku mają już posiadanie nabyte i potrzebują go tylko bronić. Proklamacya mikada Mutsu-hito, donosząca o tymczasowem zakończeniu wojny przez punkty ugodne w Szymonoseki, pełna wiary w przyszłość, ale zarazem i trzeźwości na chwilę obecną, wskazuje, że rząd japoński nie unosi się swymi tryumfami i przygotowany jest na dalsze prowadzenie wojny, do jakiejby mocarstwa europejskie dyplomatycznemi i zbrojnemi demonstracyami swemi popchnąć mogły Chiny.

Noty wysłano dotychczas dwie: pierwsza była jednobrzmiąca w trzech osobnych aktach, druga, według *Gaulois*, mieści się już w jednym zbiorowym akcie; podpisali ją wszyscy trzej posłowie. Przedmiotem pierwszej jest opór przeciwko ustąpieniu półwyspu Liao-tong, o treści drugiej nic jeszcze nie wiadomo. Czy są jeszcze jakie inne punkty żądań w obu notach? Domyślać się tylko wypada, że interesy handlowe również znalazły swój wyraz i logicznie największą do nich przywiązać by należało wagę, bo obrona ich jest i prawnie najsilniejszą, i faktycznie najprawdopodobniejszą, najpewniejszego też skutku spodziewać się z niej można. Japonia dotychczas trwa w postawie wskazującej, że woli niebezpieczeństwo, niż uległość; ale czy wytrwa? Dzieje, o ile się na nie czyny ludzkie składają, są tylko procesem psychologicznym, mają swoje psychologiczne momenty, o których sam nawet działający podmiot czynów nic pewnego z góry powiedzieć nie może. Dla Chin dotychczasowa pomoc Europy jest grą na loteryi, bo jeżeli wywoła wznowienie wojny — bez wojennego współdziałania — los Państwa Niebieskiego może być o wiele gorszym od zgotowanego mu przez traktat w Szymonoseki. Zadziwiająca napozór bierność Anglii jest tylko wyczekiwaniem; w przyszłym tygodniu będą już wiadomości o wystąpieniu jej w szranki: wtedy się nacisk zbiorowy dokładniej scharakteryzuje, zwłaszcza rola Niemiec. Anglia wzmacnia już swe eskadry w Europie, w Azyi ma flotę potężną.

Z floty na oceanie Spokojnym admirał Stephenson robi użytek, wojowniczy przynajmniej, jeżeli jeszcze nie wojenny: wysadził na ląd wojsko marynarki i zajął port Corinto, gdzie republikanie Nicaragui dopuścili się jakiegoś pokrzywdzenia interesów i osób angielskich, zwłaszcza uwięzili konsula, co już jest przestępstwem. Leopard zażądał indemnizacyi i przeproszenia uroczystego, a gdy żądaniu odmówiono skutku, w nocy z d 26 na 27 z. m. wykonał groźbę i zajął Corinto. Powinienby już iść dalej, ale go powstrzymuje Londyn, a temu znowu powściągliwość doradza wdanie się Stanów Zjednoczonych, które zawsze zasady Monroego bronić będą, i słusznie, dla własnego bezpieczeństwa koniecznie, ilekroć nieprzyjazna stopa europejska dotknie lądu amerykańskiego.

W Niemczech wniosek Kanitza z komisyi sejmu cesarstwa wyjdzie tak samo nieżywym płodem, jak wyszedł z rady stanu pruskiej. Najzupełniej zgodnie z prawdą dowodziły pisma półurzędowe, że jest w tym wniosku utajony socyalizm państwowy; dowodzą tego samego i teraz komisarze wnioskowi przeciwni. „Umsturzvorlage" za pogrzebaną już uważać można, jeśli jej do życia nie przywoła jeszcze zaciętość zachowawców agrarnych lub płytkość *national*-liberałów. W żadnym tylko wypadku przewidywać nie można uchwalenia w tej postaci, jaką mu nadało centrum.

Rząd niemiecki nie ma powodzenia i w polityce finansowej. Komisya do podatku tytuniowego, licząc się z olbrzymiemi petycyami, które wniesieniu projektu miquelowskiego towarzyszyły, i współczu-

---

7)

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ DRUGA.

MORONOWIE.

Widok 12.

Mściwa złość, którą Moron przy końcu rozmowy okiełznał, po wejściu Arjosa zerwała wędzidło i zaczęła gwałtownie miotać się w piersi arcykapłana. Wyłamywała mu one twarz w srogie wyrazy i potrząsała całą jego postacią. Chwilami opanowywała go jakaś czułość, ale natychmiast gniew z nią się ścierał i krzesał mu w oczach złowrogie iskry. Moron chodził po namiocie niespokojny lub nagle stawał skamieniały surową myślą. Widocznie usiłował wytężoną wolą ukręcić łeb jakiegoś gadu, który go kąsał w sercu, czy też w sumienie. Nareszcie wyczerpany wewnętrzną walką upadł na kolana.

Moron

Panie mój, ja nie kłamię, kiedy mówię, że cię widzę i słyszę, choć cię nie widzę i nie słyszę przed sobą, bo cię czuję w sobie. Wtedy dusza moja ogląda twoje oblicze i rozpoznaje twój głos. Zdaje mi się, żeś kazał to zrobić, co zrobię, że wolą twoją jest, ażeby na ziemi był jeden ród, a w niebie jeden bóg. Jeżeli się mylę, jeżeli starość zamroczyła mój umysł, daj mi znak, a wykonam, co każesz.

Klęczał długo, jak gdyby na coś czekał i jak gdyby niewidzialny ciężar wtłaczał go w ziemię. Powstał wtedy dopiero, gdy wszedł Zebor i podniósł go.

Zebor.

Czy słabo ci, Moronie?

Moron

Przed chwilą nieco omdlałem, ale teraz czuję się już zupełnie dobrze.

Zebor.

Trudzisz się nad siły twego wieku.

Moron

Bóg mnie jeszcze nie odprawił. Co mi przynosisz?

Zebor.

W góry czujków wysłałem, wąwozy strażami zamknąłem.

Moron.

Teraz uważnie patrz w myśli moje. Czy w górze rzeki jest gdziekolwiek płytki bród, przez który moglibyśmy przejść na drugą stronę?

Zebor.

O kilkaset staj stąd jest tylko wąski nurt, głęboki na dwu ludzi.

Moron.

Poślij tam wieczorem paru zręcznych i roztropnych chłopców z liną, którą przeciągną przez ten nurt i przywiążą do palów. Trzymając się jej, wyprawa nasza łatwo przepłynie w nocy. Gdyby przeprawiła się tutaj, Mirowie mogliby ją dostrzedz.

Zebor.

Kiedy na nich wyruszymy?

Moron.

Dziś w nocy. Musimy ich zaskoczyć podczas snu i z tej strony, z której nas wcale się nie spodziewają.

Zebor.

I z pewnością tam wart nie postawili.

Moron.

Inaczej bóg by nam tej drogi nie wytknął. Niech się uzbroją wszyscy zdolni do walki, oprócz kilku, którzy pozostaną dla pilnowania trzód i Arjosa. Nadto dwaj pójdą ze mną i Tylonem na górę przeciwległą osadzie Mirów.

Zebor.

Po co?

Moron.

Dowiesz się potem.

Zebor.

Nie będziesz z nami?

Moron.

Nie. Pamiętaj, że idziesz z rozkazu boskiego. Pan cię nie odstąpi i użyczy ci zarówno siły, jak rozumu. Ufam zupełnie twojemu męztwu i przezorności, że rzucisz swoje wojska, jak stado sokołów na drzemiące czaple. Miecz anioła zemsty jest nietylko ostry, ale i płomienisty. Przed natarciem podłożcie w różnych punktach pod

jąc z narodem palaczy — postanowiła ogromną większością zasadnicze artykuły projektu odrzucić. Miquel prawdopodobnie wstrząsł się od takiej uchwały, zachwieje się od ostatecznej—i będzie nowo przesilenie ministeryalne, niepożądane dla cesarza, prócz tylu innych kłopotów prawodawczych i zarządowych, mającego jeszcze na głowie uroczystości kielskie, przyjaźń z Francyą przeciwko Japonii i cały „ten kurs nowy,“ tak niespodziewany dla zdrowego rozsądku.

Z Kuby milczenie. Marszałek Martinez Campos organizuje walkę na miejscu. Stany Zjednoczone prywatnie nie przestają pomagać kubańczykom.

Gladstone miał mowę o Armenii, którą dyplomacya europejska poświęciła dla Japonii. Znowu piskorz turecki się wyśliznie.

Między Norwegią a Szwecyą stosunki jakby przed wojną. Norwegia nie ma prawidłowego ministeryum, a Szwecya myśli o zajęciu jej zbrojnem. Są to wszakże dopiero myśli, nie ma jeszcze postanowień.

BADANIA NAUKOWE.

SZKICE ANTROPOLOGICZNE.

Filozofia pierwotna.— Prace nad mitologią nawajczyków. — Symbolika czterech okolic świata: barwy święte, krzyż, znaczenie czwórki. — Panteon nawajski i symbolika dziewiątki. — Ptak błyskawiczny i żar-ptak. — Ogólne uwagi.

Mitologia w świetle najnowszych badań coraz wyraźniej uwydatnia swoje rzeczywiste oblicze: była ona filozofią, wysnutą przez umysł pierwotny. Naturalnie, mówiąc to, mamy na myśli przedewszystkiem zapatrywania, właściwe wcześniejszym okresom kultury ludzkiej, bo ilekroć bierzemy się do analizy pojęć religijnych świata klasycznego, to spostrzegamy przy uważniejszym rozbiorze, iż pierwotne wierzenia są tam już mocno zatarte i powstała gmatwanina, w której zginęły staroczesne nici przewodnie, reszta zaś jest upstrzona późniejszymi dodatkami. Ale kiedy schodzimy do wcześniejszych ogniw kultury, tam owe pojedyncze, stargane nici wiążą się z sobą i tworzą wyraźne wzory. Jak dotychczas, poznaliśmy je bardzo niedokładnie, bo choć napisano setki tomów o ludach pierwotnych, to przecież nagromadzony w nich materyał posiada wartość bardzo podejrzaną. Dopiero ostatnie lata rzuciły światło na tę najciekawszą może sferę twórczości umysłowej człowieka. Biuro etnograficzne Stanów Zjednoczonych w swoich rocznikach nagromadziło tak cenny materyał, że dopiero teraz zaczynamy pojmować tę prawdę, żeśmy niewiele wiedzieli o filozofii pierwotnej. Właśnie w ostatnich tomach znajdują się tam dwie prace niepośledniej wartości, obie zaś dotyczą tego samego szczepu indyjskiego: nawajczyków. Autorem jednej, poświęconej opisowi tak zwanego śpiewu górskiego, jest znany badacz, dr. Washington Matthew; drugiej, zajmującej się pokrewnym obrzędem, James Stevenson *). Są to tylko monografie; każda daje opis jednej ceremonii — wyproszenia zdrowia dla chorego, ale swoją drogą tyle rzucają światła na poglądy pierwotnego człowieka o przyrodzie, że śmiało stawiamy je powyżej uczonej frazeologii, obejmującej cały glob ziemski, lecz, niestyty, nie odtwarzającej tego, co było i jest w rzeczywistości.

Obie ceremonie trwają dni dziewięć, liczba zaś ta bynajmniej nie jest wyssana z palca, ale posiada głębokie, symboliczne znaczenie. Ponieważ spotykamy ją gdzieindziej w kulcie, przeto tłomaczenie indyjskie może da nam klucz do zrozumienia jej rodowodów (mówimy „może,“ bo mimo podobieństwa u wszystkich szczepów ludzkich objawów rozwojowych, o tożsamości mówić nam nie wolno; zjawisko mogło wyniknąć z przyczyn odmiennych). Otóż dziewiątkę wybrano, ponieważ wiąże się z liczbą cyklów księżyca, która upływa od zapłodnienia do wyjścia dziecka z łona matki. Podobnie dziewięciu cyklów, tj. dni, wymagają opisywane ceremonie, ażeby choroba opuściła organizm ludzki. Każdy ustęp tych obrzędów to istotna kopalnia tajemnic. Kapłani, kierujący ceremoniami, malują postacie mityczne na piasku i w ten sposób namacalnie uprzytomniają swoje zapatrywania o przyrodzie i siłach, które nią rządzą. Jeden taki rysunek i to, nad czem długie lata rozprawiano bez rezultatu w świecie naukowym, staje się jasnem, jak na dłoni. Wszystkie, rozumie się, odtworzono we wspomnianych monografiach. Tęcza np. figuruje tam jako olbrzymia żywa istota: pas różnokolorowy, złożony z równolegle idących linij czerwonej i niebieskiej, ciągnie się półkolem, na jednym końcu posiada nogi, na drugim ręce i głowę. Symbol ów tak jasno mówi nam o naturze poglądów człowieka pierwotnego na to zjawisko przyrody, że nie potrzeba nawet słów dla jego uzupełnienia. Święto znaczenie tej lub innej barwy, zawsze związane z określoną stroną świata, symbolika czwórki, wypływająca z pojęcia o tylu okolicach widnokręgu, użycie w kulcie pierwotnym krzyża, które pochodzi również z tego samego źródła (przynajmniej w obrębie Ameryki pierwotnej), wszystko to występuje w obrzędach nawajczyków nie jako domysły, zrodzone w gabinecie, ale jako praktyka, całym charakterem wyraźnie głosząca o swoim rodowodzie. I symbol mitologii pierwotnej za symbolem, pogląd za poglądem przesuwają się przed naszem okiem, upostaciowane na rysunku, przedstawione dramatycznie w czynach kapłanów, wyjaśnione w mowie.

Zwłaszcza wiele ciekawych rzeczy zawarł w sobie opis „śpiewu górskiego,“ może dlatego, że Matthews drobiazgowiej wywiązał się ze swego zadania. Bohater owego póldramatu, pół-obrzędu świętego ucieka z niewoli. Ilekroć wrogowie mają go już złapać, tyle razy opiekujący się nim protektor nadprzyrodzony chowa go w mieszkaniu tej lub innej istoty nadziemskiej i ocala przed pogonią. Są to zwykle ludzie-zwierzęta, rządzące różnemi sferami przyrody. Kalejdoskop to niezmiernie ciekawy: jedno bóstwo po drugiem zjawia się przed nami ze swojem otoczeniem. A za-

*) *Annual Reports of Bureau of the Ethnography.* Waszyngton. Rocznik VI. Dr. Washington Matthew, *The Mountain Chant.* Rocznik VIII. James Stevenson, *Ceremonial of Hasjelti Dailjis.*

---

domy ogień, który wam będzie przyświecał, a nieprzyjaciół przerażał.

Zebor.

Wszystko spalić?

Moron.

Możecie pożar gasić, ale tylko krwią.

Zebor.

Czy tym, którzy się poddadzą, przebaczyć?

Moron.

Zabierzecie żywcem do niewoli wszystkie ich stada — innych jeńców nie potrzebujemy. Zresztą dość nam będzie tych, którzy się skryją i śmierci unikną. Bóg przeznaczył nam siedzibę na miejscu Mirów — więc oni tam są zbyteczni.

Zebor.

O ile tylko siły nam starczą, ulżymy ziemi.

Moron.

Nikogo nie oszczędzajcie. Ale są w tem przeklętem plemieniu tacy, którzy noc dzisiejszą przeżyć mogą i tacy, którzy koniecznie umrzeć powinni. Ciężki grzech i obrazę boską sprowadziła na nasz ród siostra Tylona, która Arjosa oprzędła szatańskim urokiem. Ta musi zginąć niechybnie — i to z twojej ręki, Zeborze. Nie włóż miecza do pochwy, nie zejdź z pola bitwy, dopóki ona na niem nie legnie. Gdy wrócisz, zapytam cię naprzód, czy Orlę zabiłeś—wtedy przyznam, żeś nietylko zwyciężył Mirów, ale i uradował boga.

Zebor.

Zrobię to bez trudu. Chociażby w tej dziewczynie przyczaił się djabeł, wypędzę go wraz z jej duszą.

Moron

Może bóg wtedy w Arjosie przemienienia dokona. Nigdy zuchwałość ludzka nie wypluła tylo bluźnierstw i złorzeczeń, ile on przez nią opętany. A tak był przedtem bogobojny i dobry! Ta dziewczyna więcej nam sprawiła złego, niż pustynia, niż susza, niż głód. Jeżeli ona żyć będzie, Arjos natychmiast umrzeć musi, ażeby nas swoją miłością do niej nie obrzydzał bogu.

Zebor.

Mirowie nie sfruną nam z ziemi, zanim do nich dobiegniemy. A tę szkodliwą kraskę sam uduszę, gdyż kto inny mógłby sobie upodobać jej ładne piórka i wziąć ją jako brankę.

Moron.

Nie, nie dopuść tego!

Zebor

Bądź pewny. Mówią, że ma być prześliczna i wszyscy chodzą za nią, jak żebracy, ale mnie ona serca nie połechce. Wyznam ci, Moronie: lubię zdrowe mięso kobiece, ale o ładne nie dbam.

Moron.

Słusznie, mój synu. Naturalnie, gdyby Arjos kiedyś odzyskał rozum, nie powiesz mu nigdy, żeś tę dziewczynę uprzątnął. A nawet nie wspominaj o tem nikomu. Niech wie tylko bóg i my.

Zebor.

Wystarczy.

Moron.

Teraz idź i przygotuj wszystko do wyprawy. Przed północą musicie wyruszyć. Policzyłeś już, ile będziesz miał wojska?

Zebor.

Dwa tysiące łuczników, trzysta zbrojnych jeźdźców, włócznicy i topornicy złożą około 800 dobrych żołnierzy.

Moron.

Mirowie tylu nie wyprowadzą.

Zebor.

Spodziewam się, że nie wyprowadzą żadnego, bo wszyscy będą spali.

Moron.

Dałby bóg! Ale wybłagam to u niego, przecież nam rozkazał. Idź, Zeborze, ja będę się modlił. Jeszcze zaczekaj chwilkę. Skoro zmierzchnie, wyślij dwu ludzi na górę Wichrową, skąd będę przypatrywał się waszej świętej walce; niech tam na szczycie ułożą wielki stos z suchych żywicznych gałęzi. Ujrzawszy płonącą osadę Mirów i usłyszawszy wasze zwycięzkie okrzyki, zapalę go i złożę na nim dziękczynną ofiarę bogu.

Zebor.

Rozumiem.

Moron.

No już odejdź, bo i czasu masz niewiele.

(D. c. n.)

tem Odysseusz nawajski, kryjąc się na wierzchołku górskim, spotyka tam czarną owcę, pana tych terytoryów, który chowa go w swojem domostwie. Mieszkanie to — wewnątrz skały, zgodnie z filozofią czerwonoskórego, składa się z czterech pokojów, tj. tylu, ile jest okolic świata. Równie zachowaną jest symbolika barw. Później, kiedy bohater znajduje się w nowem niebezpieczeństwie, z pomocą pospiesza mu staruszek, o ostrym nosie, małych ale szerokich oczach i spiczastych wąsach, siedzący na ziemi i oskubujący owoc kaktusowy. To szczur leśny, ukrywający prześladowanego w swojej chacie. Dalsze losy każą uciekającemu nawajczykowi szukać schronienia w siedzibie niedźwiedzi. Olbrzymie ognisko bucha tam jaskrawym płomieniem, lubo nikt nie podsyca go dorzucaniem drew, cztery skory symbolicznej barwy leżą dokoła: czarna na wschodzie, błękitna na południu, żółta na zachodzie i biała na północy; na nich rozłożyły się niedźwiedzie, każdy takiego samego futra, co rozesłana skóra. Jenice, znalazłszy tam pomoc, częstuje, według zwyczaju, gospodarzy swoją fajką, rozumie się, zaczynając od czarnego niedźwiedzia, tj. od wschodu, i poczęstunek krąży dokoła ogniska w kierunku dziennego obrotu słońca. Każdy szczegół w opisie tego przyjęcia świadczy o tem, że wszystko tam się wiąże ze zjawiskami, towarzyszącemi obrotowi ziemi około swojej osi. Znowu rozpoczyna się ucieczka, ale wrogowie niebawem są na tropie zbiega. Wtedy usłyszał on grzmoty nadchodzącej burzy, która, stanąwszy w jego obliczu, zamieniła się na mężczyzn. Chyba nie potrzebowalibyśmy nadmieniać, że było ich czterech, posiadali oni postać łasicy i byli każdy odpowiedniej barwy. W innem miejscu ratują go bóstwa błyskawiczne: kiedy wstępował na ich terytoryum, słyszał grzmoty i widział błyskawice we wszystkich okolicach świata. Wprowadzają go one do swego domostwa, zbudowanego z czarnych chmur. Łyse jak węże, i przypominające je nieco, miały jedynie kosmyki włosów nad uszami. W izbie ich w każdym kącie siedziały ptaki, miotające błyskawice: czarny na wschodzie, błękitny na południu, żółty na zachodzie i biały na północy. Zwierzęta te niekiedy ze swoich szponów wyrzucały błyskawice, z których każda była tej samej barwy jak wyrzucający je ptak. Dom innej zbawicielki, wiewiórki, był utkany z promieni słonecznych; ona sama (ściślej one, bo zawsze jest ich czworo) posiada postać ludzką, z pręgami czarnemi i czerwonemi na grzbiecie. Opuszczamy przygody, spotykające naszego bohatera u innych bóstw-zwierząt, a zatem u bogów mroku, tj. nietoperzy, u wężów wodnych, jeżów itd.; zaznaczymy tylko, że zawsze i wszędzie mamy tę samą symbolikę czwórki w związku z pewnemi barwami, charakteryzującemi okolice świata. Prócz bóstw-zwierząt istnieją także, chociaż bardzo nieliczne, kategorye istot wyższych, że tak powiemy, społecznych, tj. posiadających kształty ludzkie i będących upostaciowaniem pewnych stosunków, wziętych z gromadnego pożycia indyan. Oglądamy więc dom dziewcząt, których jest cztery; mieszkanie w skale, składa się z dwóch pięter, każde zawiera cztery pokoje, do domu prowadzą cztery ścieżyny, każda zamknięta drzewem rozłożystem: na wschodzie rośnie czarne, na południu błękitne, na zachodzie żółte i na północy białe. Jedno z tych dziewcząt jest wielką wojowniczką, idąc na wojnę wyjmuje ze swego ciała organy życia, tak iż jej zabić nie można i wogóle swoim charakterem przypomina Dyanę. Istnieją podobnie domy świętych młodzieńców; w jednym mieszka ich ośmiu, w drugim czterech. Każdy z nich, względnie każda para, jest barwy odpowiedniej i stoi w stosownej stronie świata. Znajdujemy też siedzibę „długich ciał," bóstw nieznanego nam znaczenia, później kobiet zamężnych. Odysseusz nawajski zwiedza kolejno wszystkie te kryjówki, w każdej z nich dowiaduje się o jakiejś nowej tajemnicy, będącej środkiem leczniczym. Wróciwszy do swoich współplemieńców, układa ceremonię, która treścią ma odpowiadać jego przygodom i trwa dni dziewięć. Skutkiem dokonania przepisanych obrzędów, chory podobnie jest ratowany z dręczącej go choroby, jak ów ktoś z niewoli.

Zatrzymaliśmy się drobiazgowiej nad odyseją legendowego bohatera nawajczyków. Samo już streszczenie jego wędrówek zawiera mnóstwo szczegółów, wielce charakterystycznych. W całej pełni swojej uwydatnia się przed nami owa święta symbolika barw, która, jak to dostatecznie wykazuje przytoczona opowieść, jest związana z czterema stronami świata, obok zaś symbolika czwórki, z którą spotykamy się na każdym kroku w pierwotnej filozofii i w pierwotnym kulcie. Po za tem rzuca się nam w oczy wiele innych rysów. Przedewszystkiem spostrzegamy, że w filozofii nawajskiej brak pojęcia o władzy centralnej w przyrodzie: siły jej znajdują się pod opieką wielu jestestw, zgoła od siebie niezależnych, w górach rządzi owca, gdzieindziej wiewiórka, w wodzie gady, burze mają swego pana, błyskawice znowu innego. Przytem w każdej dziedzinie króluje nie jedna osoba, lecz cztery, niekiedy zaś ośm i pojedyncza tablica świata posiada niezależnego nad sobą opiekuna. Nawajczycy znajdują się jeszcze w fazie, ujawniającej bardzo wybitne ślady po pierwotnym, zoomorfistycznym poglądzie na przyrodę: bóstwa są tam zwierzętami lub dokładniej ludźmi, posiadającymi rysy zwierzęce. Wiewiórki więc są niby wiewiórkami, ale też jednocześnie mają postać ludzką, szczur to człowiek, o fizyognomii szczurzej. Ale swoją drogą są to już ostatnie chwile zoomorfizmu i w panteonie nawajczyków prócz zwierząt oglądamy kategorye społeczne: dziewczęta, kobiety, młodzieńców.

Prace J. Stevensona i Washingtona Malthewsa, będąc monografiami, poświęconemi jedynie opisowi pewnego szczególnego obrzędu, tem samem nie mogą nam przedstawić całokształtu poglądów nawajskich na przyrodę, oraz na wzajemną zależność jej sił. Dają one nam tylko jedną stronę, ale za to w sposób bardzo wyczerpujący i drobiazgowy. Rezultaty, przez nich otrzymane, wiążą się w zgodną całość z wynikami poszukiwań Cushinga, Mooneya i innych etnografów, na żołdzie fundacyi Smithsońskiej. Z tych poszukiwań widać, że ów cztero-postaciowy, usymbolizowany w różnych barwach zoomorfizm istnieje w szerz i wzdłuż lądu północno-amerykańskiego, niektóre zaś symbole są właściwe może dalszym częściom globu ziemskiego. Ptak błyskawiczny istnieje naprzykład nietylko w Ameryce północnej. W Afryce południowej huragan równie uchodzi za ptaka, kładącego jaja, z których później lęgną się huraganięta. Zwracamy uwagę na ostatnią okoliczność, bo ten sam pierwiastek o chmurze, jako o ptaku, wychodzącym z jaja, tkwi w wierzeniach naszego ludu. W liczbie przesądów o czarownicach, znajdziemy zabobon, że cioty wysiadują w lesie jaja, z których później wychodzą grady, grzmoty i błyskawice. Może nawet żar-ptak naszych klechd stanowi spuściznę po owej filozofii pierwotnej. Wspominaliśmy tylko co, że wszędzie u plemion amerykańskich istnieje wiara, iż każda sfera zjawisk posiada tylu opiekunów, ile części świata, przyczem każdy z nich jest odpowiedniej, symbolicznej barwy. Wspomniane prace poprzestały na podkreśleniu tego faktu, poszukiwania zaś Mooney'a, nad któremi w przyszłości zatrzymamy się bliżej, uwzględniły pierwiastek jeszcze dalszy, mianowicie wzajemnego oddziaływania na siebie różnych sił przyrody: zwierząt na ludzi, roślin na choroby. Zebrawszy te wszystkie urywki, otrzymujemy całość, o jakiej nie śniło się badaczom europejskim. Ani jeden z nich nie przeczuwał tej logiczności i zarazem filozoficzności umysłu pierwotnego, jakie uwydatniły się skutkiem badań etnografów amerykańskich, ani też nie wyobrażał sobie, jak wygląda owa zamierzchła kosmografia. Jest ona bardziej złożoną, niż przypuszczano. Prace Spencera, Lipperta, Letourneau, to wprost zabawne fantasmogorye, które obala każda stronica poszukiwań Mooneya i Mutthewsa. Jedynie Tylor, przedewszystkiem zaś Andrew Lang wytrzymują próbę ogniową. Wprawdzie ich prace nie zawsze stoją na wysokości faktów, odkrytych przez wymienionych badaczów, ale stanowią przyczynek cenny w dziejach nauki o umysłowości ludzkiej — w tem znaczeniu, że podniecały ciekawość, wydobywały nieznane fakty, przedewszystkiem zaś nie poiły umysłów fałszywymi i apriorystycznymi poglądami, z którymi nie zawsze bywa łatwo się rozstać. Nastręcza się tylko pytanie, o ile posiadamy prawo uogólniać wywody badaczów amerykańskich. Rzecz niewątpliwa, iż pojedyncze części dokonanych odkryć dają nam klucz do odcyfrowania tajemnic mitologii na całym globie ziemskim. Ale stąd bynajmniej nie wypływa, ażeby wszędzie działały te same sprężyny. Możemy chociażby wskazać symbolikę krzyża lub koła, która bezwarunkowo wypłynęła z paru źródeł odmiennych. Ale na to pytanie niepodobna udzielić odpowiedzi. Dostarczy jej dopiero dalsza przyszłość, kiedy w innych zakątkach ziemi, gdzie istnieją ludy, stojące na niższych szczeblach kultury, znajdą się tacy namiętni, przygotowani i sumienni badacze, jakich pod dostatkiem posiada Ameryka północna. I dodajmy, że na to nie zanosi się nawet, a zatem długo nam wypadnie jeszcze czekać.

Ludwik Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Gabriell d'Anunzio: *Il Piacere.*

Powieścią najlepszą d'Anunzia jest „Il Piacere," gdyż najmniej, prawie wcale nie nosi na sobie śladów wpływu literatur północnych. Jestto czysty Renaissance. Nie znamy śród dzisiejszych utworów włoskich nic pyszniejszego pod względem piękna i bogactwa formy. Ta historya don-Juana pojęta jest zresztą w sposób całkiem oryginalny. Możnaby odnaleźć jej głębokie, acz sporne podstawy. Charakterystyczną jest rzeczą, iż kobiety lgną tak do artystów (z czego dzięki nieporozumieniu głównie korzystają tenorowie), że poeci mają zwykle żądze satyrów. Czy w tem nie przemawia chęć natury uwiecznienia tego, co jest piękne i wielkie? Gdy czytamy historyę uczuciową Goethego, Heinego, Mussota, Byrona—uderza nas wszędzie don-juanizm i zmysłowość niepohamowana. Natura, wrażając w genialne osoby ten szał miłosny, który zdaje się dążyć do posiadania wszystkich kobiet, pracuje nad udoskonaleniem gatunku. Jej zależy, i bardzo, na tem, aby rzadkie szczepy szlachetniejszej ludzkości nie zaginęły. Natomiast jest zupełnie obojętną na to, czy zwykły oset i łopian ludzki rozmnaża się czy nie: obdarza go masą cnót domo-

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Szereg faktów mam do zaznaczenia, które mi nasuwają myśli smutne, bardzo smutne. Niejednokrotnie, kiedy dochodziły mię echa poszczekiwań lub nawoływań do wesołych tomatów „ludzi praktycznych, zdrowych i trzeźwych," myślałem, że się mylę może, widząc społeczeństwo galicyjskie w rozbiciu, w apatyi, w służalstwie, w nędzy. Może. Lecz jeżeli tylko cząstka tego, co mi się wydaje być prawdą, jest prawdą? Ażeby Galicyę ocenić słusznie i rzetelnie, trzeba koniecznie usunąć punkt wyjścia, że tak powiem, utylitarny, a do głośnych wynurzeń lojalności austryackiej, któremi stańczycy hojnie szafują, bałamucąc opinię publiczną, przyłożyć miarę pozytywną: komu dobrze w Galicyi, a kogo austryacka polityka ekonomiczna i nieekonomiczna bije i gnębi? Okaże się wtedy, że gromadka tuczących się na polityce parweniuszów, wszystką myrrhę i kadzidło zużywa na pochwałę i cześć tego kierunku, który owej gromadce pozwala władzę dzierżyć i tych mężów stanu, którzy ich do współudziału w chwale, a co ważniejsza — w zyskach dopuścili. Oni posiadają środki i pieniądze na reklamę: pisma posłuszne i pokorne, spółki wydawnicze — dla swoich, posady, któremi kupują milczenie lub pochwały itd. Czynność w tym zakresie dla wzmocnienia i otoczenia powagą swojej władzy, rozwija w Galicyi stronnictwo rządowe, idące na rękę rządowi austryackiemu i pozwalające mu, pod pozorami wolności konstytucyjnych, wyciskać soki żywotne z całego kraju. Uciskani nie mają żadnej władzy, żadnej organizacyi, żadnego ogniska, za pośrednictwem którego mogliby porozumieć się, wzmocnić i bronić. Jeżeli tu lub owdzie okaże się wybitniejsza zdolność lub siła, — albo ją zagłodzą, albo złamią i spodlą. Wszystkie środki działania będą użyte i zastosowane, ażeby sparaliżować energię i zwichnąć prawość charakteru. Gdzie tylko zdolność nie idzie w parze z siłą moralną człowieka, goły opozycyonista sam nie wie, kiedy i jak przychodzi do Wydziału krajowego lub Namiestnictwa, dostaje tytuł „radcy," a wtedy—*addio* opozycya! Zdaje mu się, że czemś jest, a on już — niczem, a właściwie gorzej niż niczem, bo u swoich stracił szacunek, a u stańczyków gośnie pozyskał. Prasa galicyjska, jej zasady i przekonania — „toć to szyderstwo!" Postępowość galicyjska polega na łajance, na ciasnej doktryneryi i na zasklepieniu się w „kółku." To też kręci się w tem kółku, jak owca z kręćkiem, a ile razy trzeba wyjść na szerokie pole obrony interesów tych, za którymi od czasu do czasu poszczekuje, wówczas spostrzega się zjawisko dziwne: milczy z jednaką wytrwałością postępowe krzykactwo, jak i obóz klerykalny. Pierwszym brak wykształconych i chętnych do pracy ludzi, drudzy — milczą świadomie. Ostateczny rezultat jednaki: społeczeństwo albo nie uświadamia się, albo rozmyślnie bywa uświadamiane fałszywie. Ściśle rzecz biorąc, w Galicyi istnieją tylko dwa stronnictwa: jedno nazywa się *kapitałem*, który jest w posiadaniu wyłącznie żydów, drugie — *władzą*, będącą w ręku szlachty. Wszelkie inne hasła są wierutnem zmyśleniem, oszukiwaniem siebie lub innych. Niepodległości opinii i prasy niema wcale. Ta lub owa grupa usiłuje wmówić w siebie, że jest niepodległą, lecz wobec faktów spełnionych milczy, odzywa się półgębkiem lub jawnie potakuje komu należy. Wobec tego wszelka mowa o powadze i wpływie prasy jest najzupełniejszem zaślepieniem lub rozmyślną przesadą.

Niedawno zaszły dwa wypadki wielkiego znaczenia dla Galicyi, którym prasa tutejsza, po za luźnemi notatkami i uwagami, nie poświęciła i nie poświęci ani jednego rozumowanego artykułu. To wszystko nie jest dowodem ani jej samodzielności, ani odwagi.

W jednym z poprzednich listów wspominałem o pogłosce, puszczonej jako balon d'essai w prasie niemieckiej o podniesieniu taryfy przewozowej i osobowej. U nas nikt w tej sprawie głosu nie zabrał, ani jeden z publicystów, bo też notatek dziennikarskich za głosy poważne nie uważam. Dziś już możemy się liczyć z faktem dokonanym — na razie tylko taryfy osobowe będą podniesione od 1 lipca. Jedno z wielu dobrodziejstw Galicyi, które jej nędzy ulgę sprawiać mogło, były niskie, stosunkowo do innych państw, taryfy osobowe. Zawdzięczaliśmy to dobrodziejstwo generalnemu dyrektorowi kolei, który był niemcem. Z chwilą, kiedy rodak, dr. Biliński, objął to stanowisko, skończyło się dobrodziejstwo. Niby dla jakichś celów wyższej polityki krakowskiej, a właściwie w chęci uściełenia sobie drogi wyżej i dalej, p. Biliński nie wahał się nałożyć nowego pośredniego podatku na ubogich swoich współbraci w Galicyi. Tak jest, nowy podatek pod formą starego zdzierstwa, bo prawie wszystkie koleje w Galicyi są rządowe, cieszyły się dochodami dużymi i stałymi i nic, oprócz chęci przypodobania się rządowi austryackiemu kosztem obdarcia z krwawych groszy własnych współrodaków, nie upoważniło p. Bilińskiego do nałożenia nowego ciężaru. Ażeby wykazać naocznie, jaki charakter posiada ta nowa forma wyciskania ostatniego pieniądza z Galicyi, wezmę jeden przykład — przejazd, dajmy na to, z Rzeszowa do Lwowa. Przestrzeń ta obejmuje 184 kilometry. Dawniej kosztowała (kiedy niemiec rządził) I kl. 6,12 złr., II—4,08, III—2,04 złr.; od 1 lipca kosztować będzie (z łaski p. Bilińskiego, prezydenta generalnej dyrekcyi kolei) I kl. 6,28 złr., II—4,38, III—2,48 złr. Nie trudno zgadnąć, kogo p. Biliński dotyka nową taryfą. Zostawił on całą ekonomię polityczną na stronie, zakpił sobie z wszelkiej sprawiedliwości publicznej, a wielką mądrość, która mu niezawodnie parę folwarków w prezencie przyniesie i tytuł nieuznanego męczennika, na to wysilił, ażeby oszczędzać kapitalistów i szlachtę, kosztem chłopów, robotników i biedaków różnego rodzaju.

Bardzo zręczna taktyka, niejednokrotnie już wypróbowana przez poprzednich mężów stanu z tej kategoryi, która na polityce dorobiła się fortuny. P. Bilińskiemu chodzi o to, ażeby cesarz podziękował mu za zwiększone dochody i nadał tytuł bodaj „barona," ale chodzi mu też o to, ażeby ci, co krzyczeć mogą i mają gdzie, milczeli, reszta—jest pozbawiona głosu publicznego. Tak więc ten, kto ma za co jechać do Rzeszowa ze Lwowa pierwszą klasą, zapłaci o 12 centów więcej niż dotychczas, a ten co nie ma za co, a musi z miejsca na miejsce wędrować za chlebem, zapłaci więcej o 44 c., co przełożywszy na język zrozumialszy, znaczy, że dwa dni będzie musiał głodem przymierać z racyi pożądanych przez p. Bilińskiego honorów. Cała potworność tej reformy, wprowadzonej przez „rodaka," uwidoczni się jeszcze bardziej, jeżeli zważymy, że równocześnie z podwyższeniem taryfy osobowej zniżono bagażową. Cóż to znaczy? Jest to ulga dla tych, którzy mają bagaże, a zatem jeżdżą pierwszą i drugą klasą. W ostatecznym przeto rezultacie na zmianie taryfy zyskały klasy najzamożniejsze, a krwawicę swoją muszą oddać najubożsi. Jeżeli już p. Biliński pragnął koniecznie wyrosnąć na bohatera austryackiego kosztem podniesienia taryfy osobowej, to nasuwało mu się rozwiązanie tego problematu jedynie uczciwe i logiczne: podnieść nie taryfę osobową lecz bagażową, bo wówczas zapłaciliby nadwyżkę podróżni I i II klasy, ci właśnie, którzy z bagażami wędrują.

Stało się jednak to, co się zwykle u nas dzieje: ani w sejmie, ani w „Kole" polskiem nikt w tej sprawie, tak gorąco kraj obchodzącej, głosu nie zabrał. Bardzo naturalnie, przecież nowe cięgi od nowego aspiranta do teki ministeryalnej nie dotykają ani szlachty, ani kapitalistów.

Stała się przeto niezawodnie rzecz wstrętna. Najciekawsze są jednak w tej całej sprawie powody. Tu dopiero jest szczyt sofistyki austryackiej, która się przyobleka w ciało za pomocą głów i sumienia polaków. Wiadomo, że w Galicyi rząd zbudował kilka linii kolejowych bez znaczenia ekonomicznego dla kraju w celach wyłącznie strategicznych. Kierowały tu widoki jakieś ogólno-państwowe. Rząd był przygotowany do strat, bo drogę budował nie dla kraju, lecz dla siebie. Dopóki p. Biliński nie pozował jeszcze na wielkiego męża stanu, rząd austryacki godził się z tą myślą, że ludność w Galicyi nie może opłacać należytych procentów od kolei, które nie dla niej były budowane. P. Biliński zapragnął, ażeby kapitał włożony w drogi, strategicznie przynosił zysk—i nie znalazł lepszego sposobu dogodzenia austryakom, jak nałożenia nowego podatku pośredniego pod formą podwyższenia taryf. To bardzo smutny początek. Pan prezydent, zapatrzony we własną wielkość, nie zdaje sobie sprawy z tego. Maluczko, a doczekamy się nowego poboru. Minister wojny, obliczywszy wydatki, poczynione na armaty, manlichery, amunicye, fortyfikacye etc., powie że to jest dla dobra i pożytku kraju i zażąda oprocentowania włożonego w to wszystko kapitału. Ręczę, że żaden niemiec i węgier tego nie przeprowadzi, ale znajdzie się polak, który smutnego zadania podejmie się, a co ważniejsza znajdzie pismaków i pisma, które go ozdobią mianem—„wielkiego polityka."

(D. n.)

Cho.

CZYTELNICY I PRASA.

Amicus Plato, sed magis amica veritas.

W *Tygodniku ilustrowanym* (nr. 12) znajdujemy artykuł „Opinia pracownica," w którym autor skarży się na brak sił inteligentnych fachowych w naszej prasie, po za obrębem kół dziennikarskich, co wywołuje jej jałowość i płytkość. Zarzut ten zupełnie niesłuszny powtarza się zbyt często, dlatego też pozwolimy nad nim zatrzymać na chwilę uwagę myślącego ogółu. Czy tak jest rzeczywiście, jak powiada *Tyg. ilustr.*? Przed paru laty w jednym z poważniejszych tygodników warszawskich zabraliśmy głos w sprawie reformy aptek: o tej kwestyi większość naszej prasy i szan. publiczności ma takie pojęcie, jak o Chinach przed wojną chińsko-japońską. Ponieważ od rodakcyi otrzymałem bardzo pochlebną ocenę mojej pracy, wysłałem ją przeto do *Kuryera warszawskiego* i *Kraju*, prosząc o zaznajomienie z tym artykułem swoich czytelników, gdyż kwestya ta obecnie rozstrzyga się w sferach rządowych i żywo obchodzi cały ogół.

Z obu stron otrzymałem jednobrzmiące odpowiedzi: „według zwyczaju przyjętego w naszem dziennikarstwie, przedrukowywać pańskiego artykułu nie możemy."

„Powiadają, że są kraje, gdzie są inne, obyczaje — mówi Bartels — ale cóż robić, „co kraj, to obyczaj." O laury autorskie mi nie chodzi, na grafomanię nie cierpię, ani

młodym, ani początkującym autorem nie jestem, więc przyjąłem tę wiadomość *cum grano salis*, zważywszy, że nasza prasa głównie żywi się przedrukami.

W parę miesięcy po tem spotykam mego przyjaciela, doskonale znającego stosunki warszawskie. Naturalnie, że zainterpelowałem go w tej sprawie. „Mój kochany — odpowiedział mi z uśmiechem — niema czemu się dziwić; u nas w Warszawie nie zwracają uwagi na to, *co* się pisze, ale na to, *kto* pisze, na etykietę, na markę fabryczną. Wszechwładnie panuje reporterya kuryerkowa; jeśli chcesz zostać znanym specyalistą, wielkim powieściopisarzem, sympatycznym publicystą, uczonym, utalentowanym itd., to przyjeżdżaj do nas i postaraj się zasłużyć na jej łaskawe względy, a odrazu zajmiesz poczesne miejsce w Panteonie naszej chluby narodowej. Masz na mnie najlepszy przykład; po skończeniu uniwersytetu, pracowałem przez dwa lata u jednego *naszego znanego* ekonomisty w charakterze sekretarza. Pryncypał z początku dawał mi temat i pozwalał korzystać ze źródeł, znajdujących się w jego bibliotece, następnie czytał moją robotę, podpisywał i odsyłał do redakcyi. Ale wreszcie i temat i źródła pozwolił mi wybierać samemu; jakoż ośmieliłem się w końcu pod moją pracą podpisać własne nazwisko i odesłać do redakcyi. Redakcya zwróciła mi rękopis z sakramentalną formułą: „nie kwalifikuje się do druku.“ Trudna rada, ze smutkiem biorę gumę do ręki, wycieram swój podpis, oddaję artykuł pryncypałowi do podpisania i w parę tygodni odsyłam do tejże samej redakcyi, która wydrukowała go natychmiast bez żadnych zmian. Jeżeli artykuły nadsyłane z Warszawy bez marki nie czytają się zupełnie w naszych redakcyach, to co mówić o prowincyi! My warszawiacy nie możemy dotychczas przekonać się, że po za rogatkami Mokotowskiemi można się jeszcze czegoś nowego dowiedzieć. I cóż ty chcesz od takiej prasy? Znajdzie się kilka pism, dwa, trzy najwyżej, które stanowią wyjątek, ale one do *poczytnych* nie należą, to też dałem spokój literaturze i wziąłem się do adwokatury, która choć nędzny daje mi zarobek, ale pozwala nie dbać o łaskę kuryerkowych „rycerzy pióra.“

Myślałem, że mój przyjaciel się myli i jest wielkim pesymistą; niestety, czytając nasze gazety i pisma, coraz bardziej przekonywam się, że w tej charakterystyce zawiera się dużo, bardzo dużo prawdy.

Nie dawniej, niż w grudniu przeszłego roku otrzymałem list od wydawców *Tyg. ilustr.*, w którym oni polecają mojej „światłej uwadze“ swoje pismo, a zarazem „znając moje zamiłowanie do literatury,“ proponują mi agenturę tego pisma. Zdziwiły mię mocno te komplimenty, ale namawiam parę osób z bliskich moich znajomych, żeby zaabonowały *Tygodnika*. Na list zaś odpowiadam, że agentury przyjąć nie mogę, na poparcie pisma swoim wpływem zgadzam się i mogę nawet, o ile mi czas pozwoli, zasilać je swojemi pracami.

Tu już nie otrzymałem odpowiedzi. Chociaż wśród ludów cywilizowanych istnieje zwyczaj odpowiadania na listy, zapewne stanął na przeszkodzie przysłowiowy „nawał pracy redakcyjnej.“

Cóż ma robić biedna „opinia-pracownica,“ jeżeli pani Prasa odwraca się do niej, mówiąc najgrzeczniej—warkoczami. Tak traktują sprawy wydawnicze polacy.

A niemcy?—Trochę inaczej. Przed 10-iu laty zwróciliśmy się z takąż samą propozycyą do księgarza-wydawcy, niedawno zmarłego w Petersburgu, p. Karola Riecker'a, niemca. We dwa tygodnie otrzymaliśmy odpowiedź, w której przepraszano nas za spóźnienie, gdyż list nasz nie zastał go w Petersburgu, ale w Wiesbadenie, dziękuje nam za poruszenie danej kwestyi i proponuje szczegółowe jej opracowanie. Od tego czasu zawiązał się pomiędzy nami dość ścisły i nieprzerwany dotąd stosunek dogodny dla obu stron, a może i dla czytającego ogółu

Czy wobec przytoczonych faktów można się dziwić i ubolewać, że u nas nie istnieje opinia-pracownica? My ją mamy, ale nie cenimy i nie umiemy słuchać. Nie dziwmy się więc, jeżeli wzgardzona często od swoich, musi udawać się do obcych, gdyż tam doznaje życzliwszego i gościnniejszego przyjęcia. Zastrzegamy, że mówiąc o prasie, mamy na względzie większość; wyjątki są, ale nie przestają pomimo to być wyjątkami.

Aleksander Janiszewski.
Błońce.

PAMIĘTNIK.

Potężny skok.

Jak we wszystkich krajach łatanej cywilizacyi, spotkać u nas można obok siebie sprzeczności, które, zdawałoby się, nigdy nie bywają sąsiadkami: na jednej ulicy wspaniały pałac i domek, który nie odprowadza swych nieczystości, stajnie wyścigowców angielskich w miejscowościach, gdzie chłopi używają koni drobnych, jak szczury, wydawnictwa zbytkowe przy braku najelementarniejszych podręczników itd. Trudno zaprzeczyć, że urządzenie wagonów na tutejszych drogach żelaznych i cena biletów zniżona stosunkowo do odległości, są postępami w komunikacyi, które dorównywają zagranicznym, a nieraz je przewyższają. Jednocześnie wszakże mamy opłatę za bilety pobieraną za dalsze przestrzenie, niż przejechane (przystanki), pocztę rozwożoną pociągami, które zatrzymują się tylko na ważniejszych stacyach, brak wagonów, który sprawia, że gromada ludzi, wywieziona za miasto, nie może do niego wrócić itd. Nawet najstarsza, najzamożniejsza i najruchliwsza kolej Wiedeńska dopuszcza się często niedbalstwa, które byłoby do przebaczenia zaledwie w pierwocinach komunikacyi parowo-szynowej. Podczas gdy na nią w ostatnich czasach posypały się zarzuty, inna linia, mianowicie Nadwiślańska zdobyła się znowu na postęp, który wprawił nas w zdumienie. Oto pewnej niedzieli wysłała ona umyślny pociąg na stacye przyległe do Warszawy, przeznaczony dla osób, pragnących wynająć letnie mieszkania. Nie wierzyliśmy własnym oczom, czytając jej prawdziwie rycerskie ogłoszenie. Bo wszakże to tak niedawne jeszcze czasy, kiedy rozkład jazdy na tej drodze nie pozwalał rano wyjechać do Otwocka, a wieczorem wrócić do Warszawy, a kto się wybrał w tę uciążliwą podróż, musiał nazad albo korzystać z usług chłopsko-żydowskiej furmanki, albo—jak piszący te słowa—poczytywać sobie za wielką łaskę, że go wsadzono do wagonu z bydłem i wyrzucono zeń na Pelcowiznie. A dziś... dziś chodzą osobne pociągi dla oglądających letnie mieszkania! O nieba, jakiż to potężny skok!

Dom własny.

P. W. Gerson ogłosił w *Kuryerze warsz.* list otwarty do członków Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, w którym zaleca im, ażeby nie stawiali domu dla tej instytucyi na wypożyczonym przez miasto placu Ewangielickim, lecz nabyli kawałek gruntu na własność. Radę tę popiera następującymi względami: 1) niepewnością posiadania, 2) brakiem ruchu w tym punkcie, 3) niemożnością urządzenia (z uwagi na kościół) jakiegokolwiek sklepu, przynoszącego dochód Towarzystwu. Pierwszy wzgląd jest zasadnym—wznosić kosztowny gmach na nieswoim gruncie, sprawa ryzykowna, a kto kupuje sobie przyszwy, powinien zdobyć się na własne podeszwy, jeżeli chce, ażeby całe buty do niego należały. Względy drugi i trzeci nie mają wielkiej wagi. Place, położone w ruchliwych częściach miasta, są zwykle bardzo drogie i bynajmniej nie wpływają na ilość zwiedzających wystawę. Kto będzie chciał obejrzeć obrazy, nie cofnie się przed tem, że one wiszą w gmachu, stojącym po za ulicami głównemi, a ta publiczność, która się zwabi na szyld widoczny, będzie zawsze nieliczna. Jest to gromadka gapiów, niestanowiąca w rachunku poważnej sumy. Co się tyczy zakładów i sklepów dochodowych, zapewne, stanowiłyby one pożądane źródło wpływów pieniężnych, ale nie trzeba wymagać za wiele. Wszyscy znamy mnóstwo stałych wystaw i galeryj, które w swych gmachach nie posiadają nawet małego sklepiku.

Że krytyka cudzych pomysłów jest łatwiejsza od przedstawienia własnych, dowodem list p. Gersona, który przytoczywszy najrozmaitsze argumenty przeciw budowie na skwerze Ewangelickim, wynalazł dla domu Towarzystwa tylko „puste dziedzińce *za* Muzeum przemysłu i resursą Obywatelską,“ czyli place schowane, a więc nieodpowiadające tym warunkom, które sam postawił. Nie głosujemy bynajmniej za gruntem obok kościoła Ewangielickiego, głównie z powodu niemożności nabycia go, nie zdaje nam się jednak, ażeby wybór p. Gersona był szczęśliwym. Godzimy się z szan. artystą o tyle tylko, że trzeba poszukać placu, który możnaby kupić i który byłby położony w środku miasta. To wystarczy.

Cudowne dzieci.

Jak wiadomo czytelnikom *Prawdy*, uwolniliśmy się od obowiązku pomieszczania artykułów o farsach, operetkach, debiutach śpiewackich i aktorskich, koncertach i cudownych dzieciach, objawiających zdolności muzykalne. Naprzód bowiem musielibyśmy poświęcić trzecią część każdego numeru na rozprawy o rzeczach błahych lub na ciągłe powtarzanie pewnych frazesów pochwalnych lub nagannych, które mają tę wielką wadę, że nie dają prawie żadnego wyobrażenia o przedmiocie. Jeżeli jest człowiek tak domyślny, który po przeczytaniu sprawozdania z opery lub koncertu wie jasno, co i jak było odegrane, to zazdrościmy mu bystrości. Istnieją talenty sprawozdawcze (jak np. Hanslick w Wiedniu), które rzeczywiście umieją przelać swoje wrażenia w czytelnika, ale to są wyjątki; my tu w Warszawie, przestudyowawszy np. 20 recenzyj o „Pajacach,“ jeżeli tej opery nie słyszeliśmy, mamy takie o niej pojęcie, jak po przebudzeniu się z niewyraźnego snu. Śliczne, piękne, melodyjne, lub słabe, powszednie, uczone — oto zwykły słownik sądów. Mniej więcej ta sama śpiewka z towarzyszeniem reklamy powtarza się o cudownych dzieciach. Niebo nie poskąpiło nam tego błogosławieństwa, które uszczęśliwia dziś całą Europę. Chłopaczki i dziewczynki, grające biegle na fortepianie, wybiegają na estradę niemal co miesiąc, a każdy z tych malców ma gwiazdę geniuszu na czole. Wiele z owych gwiazd szybko zgasło, inne jeszcze błyszczą, choć nie mogą rozpalić się w słońca, jedna tylko świeci wspaniale. Mówimy o Józefie Hofmanie, dziś 18-letnim młodzieńcu, który istotnie był cudownem dzieckiem i jest znakomitym artystą. Wątpliwości pewne co do miary jego uzdolnień może nasunąć tylko talent twórczy, kompozytorski, który dotąd nie stoi jeszcze w rzędzie największych, ale jako wykonawca dorasta już Hofman olbrzymów. To też koncert jego w Warszawie był niezwykłym tryumfem.

Towarzystwo przeciwżebracze.

Na mocy zatwierdzonej w styczniu ustawy zawiązało się w Warszawie pod prze-

wodnictwem p. oberpolicmajstra, gen. Kleigelsa, „Towarzystwo przytułków noclegowych, tanich garkuchni i herbaciarni oraz domów zarobkowych.“ W nadesłanej nam odezwie Komitet nadzorczy, który objął w swoje zawiadywanie kilkanaście dotychczasowych tego rodzaju zakładów, zwraca się do pomocy i miłosierdzia ogółu. „Nowe Towarzystwo — powiada on — jest instytucyą *pomocniczą*, garnącą wyrzutki nieszczęścia i nędzy; daje ono tylko przytułek nocny oraz ciepłą strawę tym, którzy gdzieindziej znaleźć muszą i odzież, i pomoc w wyszukaniu stałej pracy, i opiekę nad dziećmi, i w chorobach poradę, i w nieuleczalnem kalectwie schronienie, i na starość zasiłek itd. Nowe Towarzystwo jest instytucyą *zapobiegawczą*, bo usuwaniem najstraszniejszych a bezdomnych okazów żebractwa do domów zarobkowych już przez to samo ułatwia zadanie innym, gdyż zmusza do pracy a zapobiega wyzyskowi miłosierdzia. Nowe Towarzystwo jest wreszcie instytucyą *powszechną*, najszerzej dla wszystkich otwartą, przed nikim bowiem wrót swych zakładów nie zamyka, żadnych kwalifikacyj nie wymaga, innych, prócz braku miejsca, ograniczeń nie zna. I właśnie ten potrójny, pomocniczy charakter naszego Towarzystwa, ta nadzieja, iż może i powinno się stać uzupełnieniem wszelkich innych zakładów oraz przedsięwzięć dobroczynnych miasta, napawa nas otuchą, iż Warszawa pojmie jego doniosłość i nie odmówi swej skutecznej pomocy.“

Do komitetu, któremu, jak rzekliśmy, przewodniczy Oberpolicmajster m. Warszawy, weszli pp.: ks. Z. Chełmicki, ks. Dudrewicz, dr. J. Baranowski, dr. K. Benni, dr. S. Markiewicz, S. Libicki. K. Szlenkier, J. Fuchs, Z. Twarowski, J. Różycki, K. Natanson, O. Alberti, J. Juszczyk. Nadto kasyer A. Popławski i sekretarz A. Zaleski. Członkowie, którzy mają dostarczyć funduszów, dzielą się na rzeczywistych (10 rs. rocznie) z prawem głosu i zwyczajnych (rs. 1). Zapisy i składki przyjmuje każdy z uczestników komitetu.

Gwara warszawska.

W Petersburgu zawiązało się niedawno stowarzyszenie, którego celem jest wyłącznie czuwanie nad czystością języka rosyjskiego, tępienie zwrotów i wyrażeń cudzoziemskich w prasie. Do tego związku weszli profesorowie uniwersytetu, nauczyciele szkół miejskich i kilku studentów. Towarzystwo zacznie swoją działalność od bacznej kontroli nad prasą i wytykania wszelkich jej błędów językowych. Dla ułatwienia czynności członkowie rozdzielili pomiędzy siebie pisma, z których będą wyławiać wszelkie chropowacizny i nalecialości, a jednocześnie doradzać poprawki. W przyszłości stowarzyszenie zamierza wydawać własne pismo. Takie kółko miłośników czystej mowy i nam także bardzoby się przydało. Dziś prasa, szczególnie codzienna, przywiązująca największą wagę do pośpiechu, stworzyła poprostu jakąś gwarę, wolapück warszawski. Co gorsza — pisma te czytane przez szerokie koła ludzi średnio lub bardzo mało ukształconych, wprowadzają wszystkie swoje błędy do żywej mowy. Najzabawniej i zarazem najohydniej wygląda to upstrzenie gazet obczyzną, której wcale nie rozumie większość czytelników, szukających nowinek lub doniesień, potrzebnych w życiu praktycznem. Najwięcej tych kwiatków dostarcza dział telegramów jednego z *Kuryerów*: Incydent, ewenement, ekspropryacya, deprecyacya, eksplozya, ferment, konwent (w znaczeniu konwencya, a więc wyrażenie zupełnie błędne), to są wyrazy, prawie w każdej depeszy powtarzane. Zobaczmy, jak ładnie będzie brzmiało takie doniesienie: „Podczas nawigacyi ferment załogi wywołał smutny ewenement, którego incydentem było eksplodowanie prochu.“ Albo: „Sztuka zupełnie zdepopularyzowana doznała fiasca. Autor więc postanowił deplasować ją do innego teatru, co jednak ogromnie go zdepensowało.“ Nie są to zdania wzięte dosłownie, ale podobnych można naliczyć mnóstwo. Pisma nasze nie hołdują wyłącznie obczyźnie; lubią one i rodzime kwiatki, których wyliczenie zajęłoby nam cały numer *Prawdy*; wymieńmy więc tylko parę osobliwszych: „*Nastąpiony* wypadek (może być i psi ogon *nastąpiony* przez kogoś) wskazywał *na* przyczyny, odszukanie *których* nie było trudne dla tych, którzy śledzić umieli *za takowemi*.“ Albo: „Dnia wczorajszego nie obeszło się bez *upadnięcia*; były także *utonięcia* i *zwichnięcia*, znaleziono paru *denatów*.“ Doprawdy za te ozdoby językowe publiczność warszawska powinna się wywdzięczyć i przesłać pismom kwiatki własne, które jeszcze się nie przyjęły na glebie dziennikarskiej. Szerzą się one prywatnie w mowie żywej i, co dziwniejsza, śród ludzi z „towarzystwa.“ Może z czasem kto ogłosi konkurs stylowy tego rodzaju, więc dla ułatwienia podaję współzawodnikom następującą mozaikę: „Wyszedł *rozgamcigany* na *tretuar* i *ćpając pajdę* chleba wsiadł do *dorożki*, pojechał do restauracyi, ażeby tam *wciąc* dobry obiad i *wstawić* parę kieliszków wina. Potem *bomblował* przez resztę dnia.“ Myślicie, czytelnicy, że to język złodziejski?—Nie!—To są wyrażenia żywo pochwycone śród „inteligencyi.“ Przydałoby się nam bardzo kółko miłośników czystości mowy. Zadaniem jego byłoby przedewszystkiem wyrabianie czujności i wrażliwości na wszelkie koszlawizmy, ćwiczenie się w stylu wzorowym, rozstrzyganie wątpliwości co do niektórych wyrazów i zwrotów itd. Zewnątrz powinno ono bez szyderstwa, lecz poważnie wytykać błędy i tym ludziom i pismom, które je popełniają. *Zn.*

Chemia w rolnictwie.

Spóźniony ale pożyteczny odczyt (z seryi urządzanych przez komitet damski) wygłosiła p. Zofia Jotejkówna w tygodniu ubiegłym. Mówiła o ważnym czynniku udoskonalenia rolnictwa: o zastosowaniu chemii do uprawy gleby. Zdawałoby się, iż jest ryzykownem przemawiać z katedry na wiosnę o rzeczy, właściwej dla sekcyi rolnej i — wobec słuchaczów, z których niewątpliwie znaczna większość nie mogłaby odróżnić kłosów jęczmienia od pszenicy. Tymczasem nadspodziewanie sala się zapełniła, prawdopodobnie więcej dla prelegentki, niż jej wykładu. Bo proszę pomyśleć: kobieta młoda mówi nie o poezyi, literaturze, ale — o chemii w rolnictwie! Już to jedno wystarcza dla obudzenia ciekawości: „jak ona wygląda?“ Rzeczywiście, niezwykle wyglądała — u nas, ale i jej odczyt był niezwykły, odsłonił przed słuchaczami kartkę z gałęzi wiedzy mało rozpowszechnionej śród ogółu. Obok wykładu teoretycznego o pożywieniu i oddychaniu roślin, p. Jotejkówna położyła nacisk na wielkie znaczenie chemii w rolnictwie obecnie i na jej doniosłą rolę w przyszłości, wreszcie dotknęła strony praktycznej: mówiła o nawozach chemicznych i o elektrokulturze — najświeższej zdobyczy w zastosowaniu nauki do uprawy gleby. *P.*

Surowica warszawska.

Dzięki pomocy znanych przemysłowców tutejszych, pp. Pfeiffrów, którzy ofiarowali trzy konie i stajnię, d-rowie Bujwid i Palmirski przystąpili odrazu do odpowiednich szczepień i wyrabiania surowicy antidyfterytycznej. Doświadczenia wszakże trwały kilka miesięcy, gdyż chciano im nadać możliwą ścisłość i pewność, a to staranie zaznaczyliśmy dawniej, jako ważną zasługę naszych uczonych. Obecnie ukończywszy próby i otrzymawszy produkt pożądany, ogłaszają oni w *Medycynie*, że mogą dostarczać surowicy na potrzeby szpitali i użytki prywatne. Ponieważ już będzie ona wyrabiana na miejscu i oszczędnie, przeto stanie się środkiem ogólnie dostępnym, nie zaś, jak dotychczas, lekiem zbytkowym, nabywanym przez instytucye i osoby zamożne. Jest to więc nabytek wielkiej wagi.

Pralnie ogólne.

Warszawa dotychczas posiada te smutne warunki, które zmuszają jej mieszkańców do urządzania pralni domowych w kuchniach, jak wiadomo ciasnych i najbardziej upośledzonych ze wszystkich części lokalu. Mniemamy zwykle, że co *swoje*, to nieszkodliwe. Dlatego też zbrudzoną bieliznę domowników, chociażby chorych, uważamy za zupełnie bezpieczną i każemy ją prać tam, gdzie jednocześnie jest przyrządzane dla nas jadło. Trudno marzyć o osobnym pokoju dla kucharki i o kuchni, podobnej do salonu. Ale w każdym razie należy dążyć do jej uzdrowotnienia. Tymczasem pranie w niej jest jednym z największych grzechów przeciwko hygienie. Cóż dopiero mówić o tych pralniach prywatnych, jednoizbowych, które będąc kuchnią, są zarazem mieszkaniem całej rodziny ubogiej, a czasem i sublokatorów? Tam najczęściej bywają siedliska chorób zakaźnych, przyniesione z bielizną od chorych. W najlepszym zaś razie zapach mydlin rozparzonych, wilgoć i nadmierne gorąco — to także czynniki zabójczo działające na zdrowie. Wobec tego niezmiernie ważne i pożyteczne jest rozporządzenie p. oberpolicmajstra, zalecające właścicielom domów obowiązkowe pralnie ogólne dla mieszkańców każdej kamienicy. Należałoby przytem dopilnować, ażeby lokale takie były urządzone według najściślejszych wymagań techniki i hygieny; nadto — powinna być nad niemi rozciągnięta w przyszłości baczność sanitarna. Tylko w niewielu nowych domach istnieją już takie udogodnienia, za które właściciele każą sobie dobrze płacić pod jedną ogólną rubryką: komornego. Dotąd wszakże nieliczna garstka ciągnie znaczne zyski z tego rodzaju nowości; z czasem, gdy one się rozpowszechnią, zniżą zyski tej gromadki szczęśliwej, ale jednocześnie nie obarczą ogółu właścicieli nowym haraczem. Straty, poniesione na pralnie, potrafią oni wyrównać za pomocą — komornego.

W DALI.

Kijów. Oddawna niepamiętny wylew Dniepru nawiedził miasto i okolice. Szczególnie ucierpiała część dolna, tak zwany *Padół*, siedlisko ludności ubogiej. Musiała ona opuścić swoje mieszkania; przeszło 700 osób znalazło schronienie w domu kontraktowym. Na przedmieściu Nikolska-Słobodka przeszło 300 domów zalanych. Najbardziej atoli klęska dotknęła mnóstwo wsi na pobrzeżu dnieprowem. Straty jeszcze dziś nie dadzą się dokładnie obliczyć; są one olbrzymie.—Przy humańskiej szkole rolniczej z dniem 27 maja rozpoczynają się wykłady ogrodnictwa, sadownictwa i pszczelnictwa dla nauczycieli szkół ludowych. Po skończeniu kursu i złożeniu egzaminu, otrzymają oni, jako nagrodę, potrzebne narzędzia.—Magistrat m. Żytomierza otrzymał pozwolenie na wypuszczenie obligacyi pożyczki miejskiej w sumie rs. 200,000 dla pokrycia kosztów budowy wodociągów.

Petersburg. Zasługują na uwagę wyniki zjazdu drukarskiego. Między innemi postanowił on starać się o następujące zmiany: Od cenzury prewencyjnej zwolnić wszędzie, nietylko w Petersburgu i Moskwie, wszystkie dzieła oryginalne i tłomaczone, o ile obejmują 10 arkuszy druku, jako też wszelkie rysunki, nuty itd. Starać się o skasowanie okólników głównego zarządu do spraw prasowych z 30 września 1861 r. o zakazie drukowania przez studentów ogłoszeń o poszukiwaniu lekcyi i z dn. 23 października

1889 o etykietach z napisami polskimi, jako sprzeciwiającego się § 41 ust. cenz. i utrudniającego formalności cenzuralne. Termin pozwolenia cenzuralnego dla wszystkich utworów powinien być trzyletni. Tam, gdzie niema instytucyi cenzuralnych, porównanie utworu wydrukowanego z egzemplarzem ocenzurowanym i wydawanie biletów polecić osobom, spełniającym nadzór nad drukarniami na tych samych zasadach, na jakich urzędują cenzorowie. Dozwolone przez cenzurę w rękopisie lub korekcie utwory peryodyczne, mogą być wypuszczane z drukarni przed otrzymaniem biletu. Obecnie każdy rękopis, zabroniony przez cenzurę, bywa zatrzymywany w aktach komitetu, co jest dla autora rzeczą wielce niedogodną. Zjazd więc ma prosić o ułożenie początku tego paragrafu przepisów w sposób następujący: „Utwory nie uznane do druku, zwraca się z zaznaczeniem, że nie mogą być drukowane, na zasadzie danego paragrafu ustawy.“ Wydawnictwa stereotypowe i ponownie bez żadnej zmiany wydrukowane, nie powinny podlegać cenzurze. Wogóle cenzor nie powinien zatrzymywać rękopisu lub książki dłużej niż miesiąc, a przy utworach, przedstawianych w korekcie, nie dłużej niż trzy dni każdy arkusz. W podaniu zjazd ma wyrazić życzenie, aby wszystkie zarządy cenzuralne działały wyłącznie na zasadzie ustawy o cenzurze i prasie. Przy roztrząsaniu sprawy własności literackiej między innemi zaproponowano stosować karę za przedruk drobnych wiadomości, bez podawania źródła. — Dn. 30 kwietnia rozpoczął się proces o spadek po Czarneckiej. Przedstawiciel skarbu, opierając się na podrobieniu metryki urodzenia zmarłej, domagał się, ażeby pozostały po niej majątek (ruchomy wynosi cztery miliony) przeszedł na rzecz skarbu. O nieprawem pochodzeniu zamordowanej doniósł jeden z rościcieli z rodziny Czarneckich, za co zastrzegł sobie od skarbu wynagrodzenie w stosunku 20%. Osądzenie sprawy odroczono.—Dn. 29 kwietnia rozpoczęły się przedstawienia towarzystwa artystów polskich.

SPRAWY EKONOMICZNE

UŚWIADOMIENIE SIŁY EKONOMICZNEJ

I.

Pisząc w nr. 4 *Prawdy* o potrzebie utworzenia Towarzystwa rolniczego dla Królestwa, położyliśmy nacisk na chwilę odpowiednią. Wtedy bowiem pierwsza rada (d. 19 stycznia) przy ministeryum rolnictwa postanowiła stworzyć podkomisyę dla rozpatrzenia sprawy „towarzystw lokalnych rolniczych“ i projektu ustawy dla nich. Od tego czasu minęły dwa miesiące, nasza zaś sekcya rolna, szeroko mówiąc o syndykatach francuskich, pominęła milczeniem wniosek niezmiernie ważnej organizacyi dla ziemiaństwa tutejszego. Obecnie wyniki narad ministeryalnych już się zarysowały wyraźnie i są niejako gruntem do przyszłych nowych organizacyj w całem państwie. To, co dotychczas było tylko doraźnem ogniskowaniem interesów, stanie się w przyszłości urządzeniem stałem pod postacią zjazdów, towarzystw i kółek. Towarzystwa wprawdzie istnieją, ale niewielka ich liczba zaspokaja zaledwie jakąś małą cząstkę potrzeb. Zjazdy również nie wyczerpywały wszystkich spraw, które mogłyby i powinny ogarnąć. Zresztą między innemi stała tutaj na przeszkodzie ich dorywczość, pomimo że sfery administracyjne zawsze traktowały je przychylnie. Bardzo ważnym hamulcem była uciążliwa formalistyka, którą obecnie władze ministeryalne postanowiły usunąć.

Pierwsze zjazdy były zwoływane na podstawie Najwyższego pozwolenia z 24 grudnia r. 1861 i za każdym razem wymagały upoważnienia monarszego. Przy takim stanie rzeczy odbyło się tylko 13 wieców. Następnie 27 kwietnia 1866 r. nowe przepisy upoważniły ministeryum dóbr państwa (po porozumieniu z ministeryum spraw wewnętrznych) do udzielania pozwoleń w tej mierze. Dzięki uproszczeniu, liczba zjazdów przy końcu ósmego dziesięciolecia doszła już do 200. W ostatnich czasach zwoływano je rzadziej, być może dlatego, iż bardziej rozwinęła się działalność towarzystw rolniczych. Niektóre z nich powstały ze zjazdów, co właśnie dowodzi, że ta forma przeglądania spraw ziemiaństwa zbliżyła rolników do siebie. Wogóle dzieje działalności zjazdów wykazują wiele pożytku. Wyświetliły one dużo potrzeb, tudzież przyczyniły się do rozszerzenia ważnych dla gospodarstw wiadomości. Wreszcie podtrzymując stosunki z władzami ministeryalnemi, ułatwiły przeprowadzenie wielu udogodnień, niezbędnych dla rozwoju rolnictwa. Pod tym względem najdonioślejsze znaczenie miały zjazdy ogólne, skupiające uczestników z całego państwa. Takich wieców odbyło się tylko sześć, mianowicie: r. 1865 w Petersburgu, r. 1870 w Moskwie, 1872 w Kijowie, 1874 w Charkowie i 1878 w Odesie. Jak wiadomo, zimą r. b. miał się odbyć podobny zjazd w Petersburgu, ale zaniechano tego projektu ze względu na to, iż w lutym do Kijowa zwołano wiec tak zw. okręgowy. Obok wyłącznie rolniczych, były także zjazdy wytwórców odrębnych gałęzi, np. hodowców lnu, owiec, chmielu, producentów nabiału, entomologów i t. d. Wszystkie jednak ani wyczerpały nigdy, ani objęły ogromu spraw ważnych, które mnożą się bezustannie i przybierają charakter coraz bardziej złożony. To właśnie pobudziło sfery ministeryalne do przedsięwzięcia zasadniczych reform, do współdziałania w zawiązywaniu nowych towarzystw i zjazdów, tudzież do przekształcenia i ożywienia istniejących. W tym celu już r. 1880 stworzono tak zwane zjazdy okręgowe, których zadaniem jest wyszukiwanie wszelkich możliwych środków usunięcia nieprzyjaznych warunków dla rozwoju rolnictwa; badanie i opracowywanie oddzielnych kwestyi, ułatwianie organizacyi wystaw miejscowych itd.

Ogólny zjazd miał się odbywać co rok w Petersburgu, pod przewodnictwem ministra dóbr państwa lub jego towarzysza. Zadaniem takiego wiecu byłoby skupienie wszystkich spraw, nagromadzonych przez różne pomniejsze organy rolnictwa, związanie ich z ogólnemi kwestyami całej machineryi ziemiańskiej przemysłowej, handlowej i technicznej.

Pierwszy zjazd okręgowy odbył się r. 1880 w Charkowie, następnie osiem innych w guberniach: petersburskiej, liflandzkiej, ołonieckiej, jarosławskiej, smoleńskiej, charkowskiej, penzeńskiej i kijowskiej. Tego jednak rodzaju porozumiewawcze organizacye rolnicze zawiodły oczekiwania. Na to niepożądane zjawisko obecnie zwróciły uwagę sfery ministeryalne i uznały za główne źródło niepowodzeń zbyt wielką formalistykę, szczególnie w tworzeniu organów czasowych lub stałych na prowincyi, np. zjazdów powiatowych. Już w r. 1890 położyli na to nacisk niektórzy uczestnicy wiecu okręgowego w Kijowie, wykazali, jak wielką korzyść rolnictwu przynieść mogą narady tego rodzaju w obrębie powiatu. Ziemianie na niewielkiej przestrzeni związani wspólnością interesów, znajdujący się mniej więcej w jednakich warunkach przyrodniczych i ekonomicznych, mogliby wiele spraw rozstrzygnąć gruntownie, sformułować jasno swoje potrzeby i przesłać je, dla poparcia, ogniskom większym. Przytem instytucye takie, przynosząc korzyść miejscowym ziemianom, oddałyby też usługi i ogółowi; byłyby bowiem wielką pomocą w zbieraniu danych statystycznych, na których częstokroć trzeba budować całokształt położenia i odpowiednio do tego regulować lub ułatwiać warunki zewnętrzne, ściśle związane z ogólnemi sprawami rolnictwa. Nie wszędzie zjazdy mogą być zastąpione przez stałe stowarzyszenia, z bardzo wielu przyczyn czysto miejscowych, których tutaj niepodobna wyłuszczać i rozpatrywać. Muszą więc obie organizacye jednocześnie istnieć i rozwijać się.

Otóż rada rolnicza przyszła do przekonania, że tylko wtedy zjazdy lokalne mogą istotną korzyść przynieść, gdy będzie zniesiona uciążliwa formalistyka, związana z ich zwoływaniem. W tym celu postanowiono posługiwać się normalną ustawą, która raz na zawsze zatwierdzona, dałaby możność zwoływania drobnych wieców rolniczych bez uciekania się do władzy wyższej i bez żadnych przeszkód. W razie gdyby się znalazły sprawy, przekraczające granicę programu, upoważnienie dla ich roztrząsania powinien wydawać gubernator. Całkiem słuszna jest uwaga, że ponieważ zjazdy gubernialne i powiatowe rozstrzygają sprawy, obchodzące miejscowe ziemiaństwo, więc one także muszą układać programy normalne. Wiece takie uprzystępnić trzeba dla każdego, kto tylko ma do czynienia z rolnictwem, a więc i dla włościan. Wreszcie powinni także brać udział i ci, którzy chociaż nie pracują na roli, lecz swoją radą i wiedzą mogą przynieść pożytek, a więc—przypuścić należy — ludzie światli, żywo ogarniający i odczuwający wszelkie potrzeby, dalej chemicy, przyrodnicy itd.

Wogóle pod względem terytoryalnym zjazdy postanowiono podzielić na trzy grupy: okręgowe, gubernialne i powiatowe; pod względem czasu—na dwie: stałe zwoływane co rok, tudzież peryodyczne i—doraźne, w terminach nieokreślonych. Rada rolnicza uznała za właściwą już opracowaną ustawę normalną, której, chociaż mamy pod ręką, nie będziemy powtarzać, lecz tylko zaznaczymy kilka szczegółów ważnych. Otóż zjazdy te mają głównie na celu wyjaśnienie technicznych i ekonomicznych warunków gospodarki miejscowej wogóle i wyszukanie sposobów ulepszenia. Po za tem—wyświetlenie i sformułowanie potrzeb oddzielnych gałęzi rolnictwa i wskazanie środków ich rozwoju. Wiece poświęcone wyłącznie danemu odłamowi gospodarki, noszą odpowiednią nazwę, np. chmielarzy, hodowców owiec, nasion itd. Przy zjazdach mogą być otwierane wystawy, składy narzędzi i maszyn, nasion itd. Środki na organizowanie zjazdów powstają ze składek dobrowolnych lub obowiązkowych, wnoszonych przez członków, tudzież z sum, ofiarowanych przez instytucye lub osoby, zwołujące wiec.

O wiele ważniejsze znaczenie mają instytucye stałe: wszelkiego rodzaju stowarzyszenia i związki rolnicze, których w całem państwie stosunkowo jest bardzo mało, podczas gdy za granicą liczyć je można na tysiące, pod rozmaitemi nazwami, przeważnie—syndykatów. Dzielą się one na kategorye najróżnorodniejsze, a jednocześnie łączą się w wielkie grupy: tak np. „ogólny związek towarzystw rolniczych w Niemczech“ obejmuje 696 stowarzyszeń rolnych i 541 spółek mlecznych. We Francyi największy i najstarszy ze związków syndykalnych, *Union des syndicats des agriculteurs de France,* zawiera 460 syndykatów, grupujących interesy *czterystu tysięcy* członków.

W Rosyi do ostatniej chwili nie było wcale związków rolniczych, na zasadzie wzajemności opartych. Czując potrzeby w tej mierze, niektóre stowarzyszenia rolnicze urządzały u siebie biura komisowo-wywiadowcze; ale nie mając ani środków, ani dostatecznie szerokiej organizacyi, te dodatkowe instytucye poprzestawały tylko na wykonywaniu zleceń, a więc speł-

niały i spełniają bardzo skromną rolę pośrednika na żądanie. To też nie dziwnego, że pomimo najszczerszych chęci, nie mogły one usunąć, a nawet złagodzić zależności wytwórcy od handlarza z gatunku spekulantów i aferzystów. Pierwsze stowarzyszenia pomocy wzajemnej powstały r. 1890 w prowincyach nadbałtyckich, gdzie stworzono „Libawskie Towarzystwo popierania rolnictwa i przemysłu wiejskiego“ tudzież stowarzyszenie rolników gub. liflandzkiej w Rydze pod nazwą „Samopoc.“ R. 1792 powstało „Południowo-rosyjskie Towarzystwo popierania rolnictwa i przemysłu wiejskiego“ w Kijowie, dalej „Towarzystwo besarabskich właścicieli ogrodów i wytwórców wina w Kiszyniowie“ i „Kowieńskie Towarzystwo nabywania i zbytu przedmiotów gospodarstwa wiejskiego.“ W r. 1893 zatwierdzono ustawę „Towarzystwa popierania przemysłu wiejskiego i spożywców kraju Nadamurskiego“ i wreszcie r. 1894 ustawę „Towarzystwa spożywców wsi Znamienskoje, pow. juchnowskiego, gub. smoleńskiej.“ W Królestwie Polskiem utworzono podobne stowarzyszenie ziemian płockich, a za kilka tygodni powstanie inne, z siedliskiem w Łodzi. Wogóle w skład powyżej wyliczonych związków wchodzą rolnicy danych miejscowości, bez ograniczenia liczebnego, którzy wnoszą niewielkie wpisowe—10 rs. i sumę udziału mniej więcej 100-rublowego. Z pierwszej pozycyi powstaje kapitał zapasowy, wzrastający ze strącania pewnych kwot od dochodu i z innych źródeł; z drugiej — obrotowy. Pierwszy służy dla pokrycia strat, zakupu ruchomości i nieruchomości, tudzież dla wzmocnienia kapitału obrotowego. Celem dopomagania rolnikom w korzystnem kupnie, zbycie produktów, towarzystwa tworzą składy, sklepy, agentury komisowe, mają prawo zawierania umów, korzystania z kredytu; przy tem odpowiedzialność gwarantowana jest ruchomym i nieruchomym majątkiem instytucyi. Z czystego zysku odchodzi [illegible] na przyrost kapitału zapasowego i 15% na wynagrodzenie administracyi, reszta zaś idzie do podziału śród członków, przyczem jedna połowa tej ostatniej sumy jest wydawana pod postacią dywidendy od udziałów, druga—jako premium, odpowiednio do sumy zakupów, poczynionych przez każdego z członków. Ster spraw stowarzyszenia złożony jest w ręce zebrania ogólnego, które ze swego łona powołuje zarząd i dyrektora. *)

Różnią się nieco od ogólnego typu dwa stowarzyszenia: Besarabskie właścicieli ogrodów i wytwórców wina, oprócz pośredniczenia, czuwa nad prawidłowym rozwojem kultury winnic i ulepszeniem techniki w produkcyi, za pomocą rozpraw i wymiany zdań między członkami, zapraszania specyalistów do czynnego udziału, ułatwienia kredytu uczestnikom urządzania szkółek (dla hodowli), wystaw i— wydawnictwa peryodycznego. Wobec znacznych kosztów tego rodzaju działalności, członkowie oprócz wpisowego przy wstępie rs. 100, płacą co rok po rs. 10. Obie kategorye idą na kapitał obrotowy. Zapasowy powstaje ze wszelkich innych źródeł. Drugie—Towarzystwo ryskie „Samopomoc,“ nosi charakter przedsiębiorstwa handlowego i praktycznego. Wydaje pożyczki pod zastaw towarów i posiada dość znaczny kapitał zakładowy 250 tysięcy rs. Wszystkie owe stowarzyszenia rozwijają się pomyślnie.

Odrębną grupę stanowią rolnicze, których zakres terytoryalny jest nadzwyczaj różnorodny. Jedne, jak np. mińskie, obejmują kilka gubernii, inne ograniczają się do jednej gubernii, a nawet powiatu. W licznych podaniach w chwili bież. przeważa ostatnia kategorya. Takie stowarzyszenia władze ministeryalne uznały za bardzo pożyteczne, gdyż ziemianie na niewielkiej przestrzeni łącząc się ze sobą, doskonale odczuwają własne braki i potrzeby, potrafią w prawdziwem oświetleniu przedstawić warunki swego bytu. Nie mogą one, rzecz prosta, rozporządzać ani wielkimi środkami, ani szerokością wniosków i poglądów, gdyż rozpatrują sprawy czysto domowe, przytem nie zawsze znajdą ludzi prawdziwie światłych i wybitnie zdolnych. Ale o tego rodzaju działalność, więcej zewnętrzną i ogólną, przecież nie chodzi. Te drobne stowarzyszenia, rozpatrujące wyłącznie sprawy domowe, mogą stanowić pojedyncze ogniwa w ogólnym łańcuchu zrzeszeń ziemiańskich, wykrywać takie fakty, zjawiska i potrzeby, jakich wielkie związki, ze względu na swój znaczny zakres i działalność, nie mogą dojrzeć, a tem bardziej szczegółowo nad niemi się zastanawiać. Towarzystwa powiatowe staną się więc z czasem instytucyami pomocniczemi, drobnemi cząstkami organizmu wielkiego, na wzór *Union des syndicats* we Francyi, lub ogólnego związku towarzystw rolniczych w Niemczech. W tej wszakże wielkiej organizacyi musi być ciągłość odrębnych kategoryi towarzystw i ich spójnia. Dziś są rozrzucone niesystematycznie, dorywczo w niewielu miejscowościach państwa, gdy inne znaczne obszary, również rolnicze, nie mają żadnego ogniska, w którem mogłyby skupić swoje sprawy, formułować i oceniać potrzeby.

Zen. Piet.

*) Powyższe zasady organizacyi nie dotyczą stowarzyszenia w Płocku i przyszłego w Łodzi.

O PRAWDĘ.

Jeszcze o „Plamy na słońcu.“

Zapytuje mię p. Napoleon Rouba, co zrobiłem z jego cyframi „złożonemi w rachunku.“? Przypominam mu więc, że odnośnie do budżetu naszych ziemian ogólnie tylko starałem się wykazać przesadę w cyfrach, zaimprowizowanych przezeń, a to z powodu, że nie mamy ścisłych danych, któreby się dopiero dały ułożyć po przeprowadzeniu wyczerpującego badania. Nie chciałem więc czerpać liczb z fantazyi. Na moje znów cyfry, dotyczące wynagrodzenia służby folwarcznej, p. R. odpowiada, „że przykład z zakątka gub. płockiej nic nie mówi“ *). Szkoda, że autor „Plam na słońcu“ nie powiedział nam z jakiego „zakątka“ zebrał dowody, na których podstawie śmiał wymierzyć swe zarzuty przeciwko wszystkim ziemianom wszystkich zakątków Królestwa Polskiego.

Przyjrzyjmy się, jakiej to wartości są gołosłowne twierdzenia p. R. „Rola pod kartofle 100 prętów daje się *zawsze* bez nawozu“ (fałsz). „Ordynaryusz otrzymuje korzec żyta wagi nie 230 f., jak żyd kupiec, ale tylko 200 f., jęczmienia nie 180, ale 150 itd. ziemianin nigdy nie pomyśli o tem, że takie spełnianie zobowiązań nie należy do czynów obywatelskich“ (fałsz). „Rolnik na podstawie tych samych kombinacyj, na których mocy daje ordynaryuszom średnie zboże, konie i woły karmi głównie plewami, zamiast ziarna, a słomą zamiast siana“ (niedorzeczność). „Większość naszych koni folwarcznych roboczych i wołów, to szkielety okaleczałe, które okrągły rok parobek batem okłada pod okiem czujnego gospodarza“ (fałsz). „W ciągu całego półrocza— pisze dalej p. R. — rolnik *ohydnie* wyzyskuje i służbę i zwierzęta“ (potwarz). „Nasze gospodarstwa usiłują uprawiać wszystko, bez uwzględnienia warunków“ (fałsz), bo w samej tylko *Gazecie rolniczej* w ciągu ostatnich lat kilku znajdziemy *kilkaset* zapytań i światłych na nie odpowiedzi dr. T. K., jakie zakładać płodozmiany, tj. właśnie, co należy uprawiać, uwzględniając warunki miejscowe. Lecz wszystkie płodozmiany dla p. R. są to tylko „sztuczki kuglarskie.“ Dosyć śmiało!

*) Może powiedzą głosy z innych „zakątków“ naszego kraju, gdyż, jak wiadomo, protest mój na artykuł p. R. nie pozostał odosobnionym.

Teraz zobaczmy, co to jest ścisłość pana R. W nr. 6 *Prawdy* czytamy: „Niewzruszona konieczność nie zna niemożebności: żona parobka przeciętnie zarabia w ciągu letnich miesięcy 15 do 20 rs. i *tylko* w ten sposób budżet ich daje się zrównoważyć.“ W nr. 15 tegoż pisma, w odpowiedzi do mnie wystosowanej, czytamy: „że tylko pracą żony w ciągu letnich robót (budżet) może być *trochę* zasilany.“ A więc dla p. R. *trochę* a *tylko w ten sposób*, to wszystko jedno!? A konsekwencya? Prawo swoje do czynienia ziemianom zarzutów tak obarczających, motywuje autor w ten sposób: powinniśmy napiętnować fuszera szewca warszawskiego za to, że podrywa kredyt „złym wyrobem i osobistą nieuczciwością na rynkach wschodnich“ i w imię tego, nie chcąc i nie mogąc czekać, aby ziemia nasza przeszła w ręce Szulców i Millerów, pisze swój artykuł, „podzielony na cztery kategorye.“ Ależ jeżeli p. R. potępi wszystkich ziemian, jak wszystkich literatów, fabrykantów i t. d. dlatego, że pomiędzy nimi jest część fuszerów, to w taki sposób nie uratujemy rynków wschodnich a zagrożonej ziemi od Szulców i Millerów.

P. R. proponuje kwestyę wydawania ordynaryi i wynagradzania służby oddać „pod sąd głosowania powszechnego.“ Ależ od tego trzeba było zacząć. Stara to przecież i znana zasada dla wszystkich sprawiedliwych sądów, zanim się wyrok wyda, wpierw się wysłuchuje oskarżonych. P. R. pisze: „nauka nie zna żadnych przeszkód (teoretycznie), aby na jednem polu nie miała się rodzić pszenica, groch lub kartofle, aż do nieskończoności.“ Ale taka zasada, zastosowana w gospodarstwie folwarcznem u nas, a nie u chińczyków lub jakutów, jest awanturą, prowadzącą do emigracyi z zagona na bruk miejski.

Głos rozgniewanego Jowisza, nie przystoi spokojnemu obserwatorowi, który zabierając się do odkrycia „plam na słońcu,“ zamiast w teleskop, uzbroił się w motykę.

Za osobiście udzieloną mi przez p. N. R. radę, abym sobie sprawił okulary, uprzejmie dziękuję, przydadzą się one bowiem w polemice z przeciwnikiem, który zamiast walczyć argumentami, zasypuje oczy piaskiem Australii, Afryki i Azyi.

Ludwik Chełmicki.

Jako ciekawy przyczynek do tej polemiki, przytaczamy zamieszczony w ogłoszeniach *Kuryera warsz.* następujący *List otwarty*:

„Z powodu artykułu w tygodniku *Prawda* Nr. 5, 6, 7, pod tytułem „Plamy na słońcu,“ w którym niejaki pan Napoleon Rouba dowodzi, iż upadek własności większej ziemskiej, jest winą li tylko właściciela ziemianina, którego nazywa p. Pługiem, że ten p. Pług żyje nad stan, albowiem nie musi: 4 konie do karety i powozu, stangreta z pomocnikiem, lokaja z pomocnikiem, szafarkę, ogrodnika, ogrody spacerowe, owoco- [illegible] p. Pług źle się obchodzi ze służbą folwarczną, że zmusza ją do pracy za pomocą silnej pięści i harapnika, że oszukuje w wypłatach it. d., a w końcu dowodzi, że nie umiemy uprawiać ziemi i eksploatować, pomimo, iż nie wie nawet, ile normalny korzec jęczmienia waży.

Jako ziemianin, odpowiedziałem każdego tygodnie p. Napoleonowi Roubie na te wszystkie zarzuty listem rekomendowanym, adresując do redakcyi *Prawdy*, gdzie proponuję mu, aby był łaskaw objąć gospodarstwo na folwarku takim przeciętnym, tj. 20 włókowym, który to folwark będzie kupiony przez nas ziemian w tym celu, aby nas nauczył prowadzić ten interes: wprawdzie postawiłem mały *waruneczek*, który może nie bardzo się podobał p. Napoleonowi Roubie, ależ przecież jest możliwy do przyjęcia, zwłaszcza dla tak palącopilnej sprawy, jak upadek własności większej ziemskiej, a że dotychczas nie odebrałem żadnej odpowiedzi, a folwark taki mam już upatrzony, przeto niniejszem zapytuję p. Napoleona Roubę: czy przyjmie moją propozycyę, a tem samem stanie się naszym dobroczyńcą!!!—wprawdzie dopiero wówczas, jakby nas nauczył, ale nie piórem w *Prawdzie*, a rezultatami w folwarku. *Wincenty Łuszczewski* z Celigowa.“

Musimy przyznać się do winy: sądząc, że list p. Ł. jest przeznaczony dla *Prawdy*, a nie mogąc wydrukować go, zniszczyliśmy i nie możemy nawet przypomnieć sobie, jaki w nim mieścił się „waruneczek.“ Co do istoty sporu, jakkolwiek dotyczy on ważnej sprawy społecznej, nie możemy mu więcej poświęcić miejsca i skróconym listem p. Ch. zamykamy polemikę, zwłaszcza że ona w końcu już obracała się tylko około nieporozumień osobistych.

Redakcya.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Według wykazów urzędowych, tegoroczny wylew Wisły w pasie 14-wiorstowym od brzegów poczynił dość znaczne spustoszenia. W wielu miejscach posiewy zupełnie zniszczone. Wszystkich rodzin, potrzebujących pracy, jest około 300. Stworzono komitet dla zbierania ofiar.

— Lwowskie Towarzystwo zaliczkowe przez cały czas swego istnienia (półtora roku) udzieliło pomocy w 4,500 wypadkach.

— Czasopisma czeskie zbierają składki dla słoweńców, dotkniętych klęską trzęsienia ziemi. Rada m. Pragi posłała Lublanie 1,000 złr. zapomogi.

— We Lwowie hr. Komorowska zapisała kamienicę wartości 100,000 złr., na dom dla chorych nieuleczal- [illegible]

— *Warsz. Dniewnikowi* donoszą z Rudnik w pow. będzińskim, że robotnicy kopalni rudy żelaznej, należącej do poddanego pruskiego, ks. Hugona Hohenlohe, w liczbie 120, w d. 17 kwietnia zaprzestali robót wskutek tego, iż zarządzający kopalnią nie uczynił zadość ich żądaniu podwyższenia płacy zarobkowej. Podczas przerwy w robotach porządek nie był zakłócony i robotnicy rozeszli się spokojnie do domów.

Koleje i komunikacye. Kolej Wiedeńska od 1 maja wprowadziła jeden pociąg z klasą czwartą do Granicy, Sosnowca i Aleksandrowa. Korzystanie wszakże z taniej jazdy zależy od tego, jeżeli się zbierze 40 podróżnych, zdążających do jednej stacyi. Warunek ten daje więc czwartą klasę do użytku publicznego... w teoryi.

— Budowę kolei do wsi Łomnicy w Tatrach już rozpoczęto. Ma ona na celu uprzystępnienie gór i zdrojowiska Łomnicy.

— Kolej z Chabówki do Zakopanego ma być skończona w jesieni r. p. W tym samym czasie będzie skończona również droga krajowa z Jaszczurówki do Łysej Polany (Morskiego Oka).

Zdrowie publiczne. Prowincye Hedżas w Arabii uznano za nawiedzoną przez cholerę azyatycką.

— W Siedlcach otwarto osobną aptekę szpitalną.

Wystawy i zjazdy. D. 1 b. m. w Berlinie otwarto wielką międzynarodową wystawę sztuki, ze znacznym udziałem artystów francuskich i amerykańskich.

— D. 26 maja otwarta będzie we Lwowie prowincyonalna wystawa przemysłowa.

— W Pradze wkrótce otwarta będzie czesko-słowiańska wystawa etnograficzna.

— W Moskwie jesienią r. b. podczas wszechrosyjskiej wystawy naukowo-rolniczo-technicznej zwołany będzie zjazd ziemiański.

— Na międzynarodowy kongres geograficzny, który odbędzie się latem w Londynie, przedstawicieli swoich wysyłają: Hiszpania, Portugalia, Stany Zjednoczone, Holandya, Włochy, Rosya, Belgia, Austrya, Francya, kolonie angielskie i wszystkie towarzystwa geograficzne na kuli ziemskiej.

Wypadki. We Francyi wioska Bourey i kilka innych w pobliżu Epinal, uległy wielkiej katastrofie d. 27 kwietnia. Tama, utrzymująca olbrzymi zbiornik kanału Wschodniego, przerwała się na długości 100 metrów. Woda porwała wiele domów i ludzi.

— W Bochni zetknęły się dwa pociągi, towarowy i osobowy. Dwudziestu trzech podróżnych odniosło [illegible]

— Okręt francuski, „Tibet,“ z wojskiem, przeznaczonem do Madagaskaru, zatonął w kanale Suezkim.

— Powracający z warsztatów sewastopolskich do Odesy statek parowy „Kotzebue,“ w nocy z 28 na 29 kwietnia, o 12 wiorst od Tarchankutu, uderzył się o statek wojenny „Penderaklia,“ płynący z Mikołajewa do Sewastopola. Pierwszy zatonął, drugi ocalił 37 ludzi jego załogi. Zginęło trzech pasażerów przypadkowych i dwóch majtków. Przyczyną katastrofy podobno było niezachowanie przepisu trzymania się prawej [illegible]

— W Denny (Szkocya) skutkiem wybuchu zginęło 12 górników.

Zmarli. Gustaw Freytag, w Wiesbaden, znakomity, współczesny pisarz niemiecki. Ur. w r. 1816. Pisał poezye, dramaty i powieści.

— Lotar v. Meyer, w Tybindze, znany chemik. Dzieło jego, „Nowoczesne teorye chemii,“ wywarło wielki wpływ na metody badania tej dziedziny wiedzy.

Odpowiedzi Redakcyi.

Prenumeratorce. Zużytkujemy.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Апрѣля 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Mazowiecka, Nr. 8.